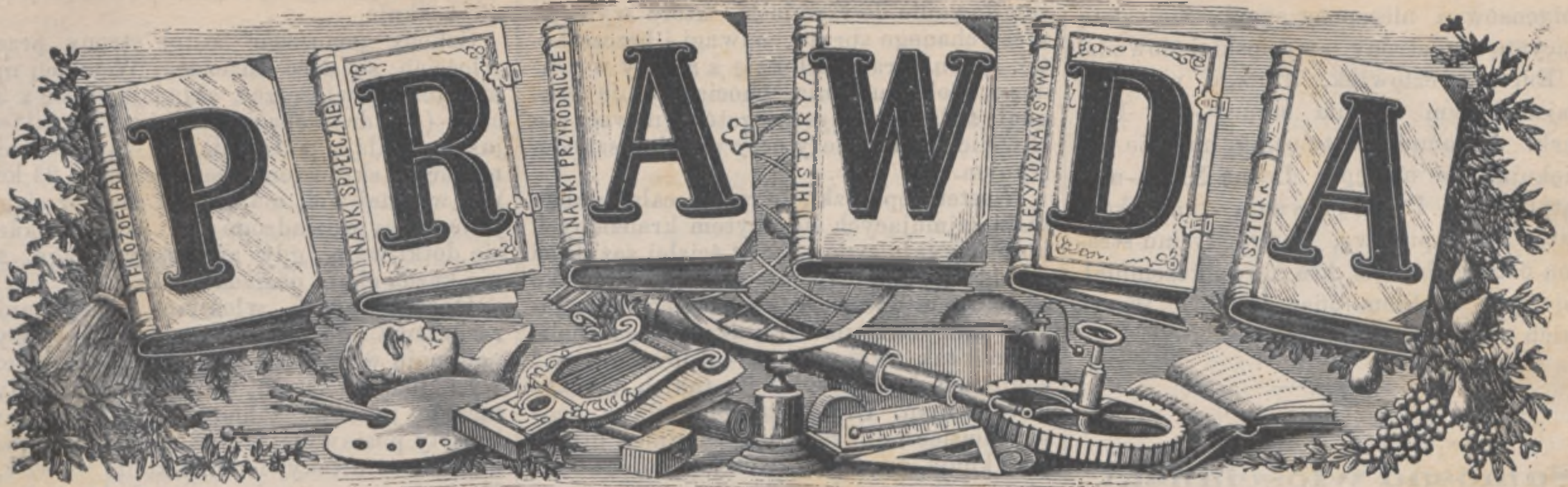
№ 18. Warszawa, dnia 2 Maja (20 Kwietnia) 1885 r. Rok V.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY" (wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Zielna Nr. 7-a.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych; w Petersburgu w Księgarni H. Glińskiego, Plac Kazański Nr. 7.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ.

POWROTNA FALA.

Pogrzeb biskupa lubelskiego, ks. Wnorowskiego, odbył się z niezwykłą uroczystością i śród niezwykłych objawów żalu. I chociażbyśmy nawet doniesienia o „powszechnych jękach," o zamiarze żydów lubelskich zachowywania postu jednomiesięcznego i tym podobne wiadomości zapisali na rachunek przesady nekrologowej, mechanicznie i na chłodno wyrabianej przez niektóre pisma, w każdym razie pozostanie fakt, że do żałoby urzędowej i zwyczajowej dołączył się wyjątkowo szeroki i głęboki smutek. Skarga po stracie nie była czczym frazesem, krepa — ozdobą kapelusza lub sukni, lecz pierwsza płynęła z serca a druga symbolizowała wiernie jego uczucia. Na te pośmiertne hołdy zmarły biskup zasłużył uczciwem, bogatem w dobre uczynki i poświęcenia życiem. Ludzie, całkiem wyzwoleni z religijnego poddaństwa i niewzruszający się na sam widok infuły, składają o nieboszczyku zaszczytne świadectwa. Pracował nad dobrem dyecezyi, usiłował uszlachetnić moralność śród ludu i jego pasterzy, majątkiem dzielił się z biednymi tak daleco, że po zgonie znaleziono w jego kasie zaledwie 10 rs.

A jednakże pomimo licznych i rzetelnych cnót bisk. Wnorowskiego, okazana mu cześć miała również swoje źródło w obecnym nastroju społeczeństwa, które w ostatnich latach stało się jeszcze bardziej katolickiem. Jeżeli porównamy ósmy dziesiątek obecnego stulecia z dziewiątym, dostrzeżemy olbrzymią pod tym względem różnicę. W r. 1875 ogół polski nie był wcale tak przywiązany do religii katolickiej, a zwłaszcza do jej przedstawicieli, jak obecnie: wprawdzie nie przymnożył on wiernych niebu, ale dał ich więcej ziemi. Religia ta bowiem wystąpiła z kościołów i weszła na pole życia publicznego jako czynnik pierwszorzędny, który służy za cel głównych ataków z jednej strony, ale zarazem jest potężnym środkiem obrony w walce o byt—z drugiej.

Po ustanowieniu t. z. praw majowych w Niemczech powstała osobna partya, walcząca za swobody katolicyzmu, stojąca na gruncie religijnym i jawnie posłuszna wszelkim rozkazom z Rzymu. Myliłby się wszakże, ktoby sądził, że należą do niej wyłącznie wierni kościołowi katolicy; bynajmniej, znajdują się tam wolnomyślni demokraci a nawet i ateiści. Cóż tych ludzi łączy? Zmysł samozachowawczy, szukający w potężnej instytucyi ratunku dla społeczeństw drobnych, przez państwo pochłanianych.

Jak widzimy tedy na przykładzie, Piotrowa kokosz okrywa nieraz swemi skrzydłami pisklęta najrozmaitszego gatunku, nietylko te, które sama wysiaduje. Ludzie, wierzący w siłę papieża, łączą się z ludźmi, wierzącymi w jego nieomylność i przywdziewają maski do ich twarzy podobne. Ten sojusz zamienia religię na politykę, a kościół na świątynię narodową.

Zaprzeczyć trudno, że takie przytulenie się wszystkich żywiołów pod skrzydłami instytucyi na wskroś zachowawczej umysłowemu i wogóle cywilizacyjnemu rozwojowi społeczeństwa pożytku nie przenosi; istotnie też, niemal we wszystkich kierunkach naszego życia dostrzegamy widoczny zastój. Nasz konserwatyzm przyszedł do taktyki zaczepnej, meduza ciemnoty, przywileju, nietolerancyi, wsteczności potrząsa zuchwale wężowymi splotami na swej głowie, praca naukowa posuwa się wolno, udział społeczeństwa w postępie duchowym osłabł, ale jest to konieczność, jest to posiew owego fatalizmu, który skazuje społeczeństwa na bezpłodne cierpienia. Z plonem tego posiewu trzeba się zgodzić, bo jest on jeszcze lepszy, niż te smocze zęby, które dla wytępienia go bywają nieraz sadzone.

Kto liczył na tę zagładę, omylił się i— jeśli go doświadczenie nie przekonało— ciągle mylić się będzie. Podniesienie się temperatury katolicyzmu występuje na każdym kroku, zarówno w głosach prasy, jak w pogrzebach biskupów. Od chwili jak polityka postawiła sprawy narodowościowe na ostrzu różnic religijnych, musiała wszelka religia, a więc i katolicyzm wystąpić w roli czynnika świeckiego i okryć swym sztandarem własnych, rzeczywistych i pozornych wyznawców. Straszny, prawie rozpaczliwy fakt, ale fakt, że pod koniec XIX wieku, na to pole przeniósł się rozwój świata. Jesteśmy znowu w średnich lub na początku nowych wieków—mamy prawowierstwa i odszczepieństwa religijno-polityczne, mamy prze-

śladowania, mamy bezkrwawe tępienia albigensów i nieszpory sycylijskie. I tą krucyatą ze strony zwycięskiej dowodzi w Europie człowiek, którego nazwano „największym mężem stanu“—ks. Bismark. Potomni za te usługi mu nie podziękują, ale następcy Leona XIII—niewątpliwie. Prześladowania katolików uratowały papiestwo, powróciły mu straconą potęgę, bo dziś, kto nie znikczemniał, staje pod znakiem ofiar gwałtu. Wszystkich unosi powrotna fala.

Samosąd włościański.

II.

Cóż się składa tak fatalnie na to, że ci spokojni skądinąd ludzie nagle, pomijając prawo, władzę itd., sami sobie w tak okrutny sposób wymierzają sprawiedliwość, stają się niemal drapieżnemi zwierzętami? Śledząc bacznie za kroniką sądową i osobiście oznajomiwszy się blisko z kilkoma procesami, musimy niestety przyznać tym włościanom jeszcze znaczny zapas cierpliwości. Wobec koniokradztwa położenie wsi jest okropnem, i walka z niem prawnymi środkami—bezskuteczną.

Dziwny to rodzaj złodziejstwa. Nam się wydaje, że w dzisiejszem koniokradztwie obok całej cyniczności występku, ukrywa się pewna żyłka, nadzwyczaj przypominająca koniarską, pewna junakierya, godna lepszej sprawy. Koniokrad ryzykuje wiele, a zyskuje stosunkowo bardzo mało; on nigdy nie dostaje nawet połowy wartości za sprzedanego konia, płacą mu tylko za to, że „przyprowadzi“ go do innego łotra, którego znowu specyalnością jest zbyt łupu. Koń musi przejść kilka rąk złodziejskich, zanim zostanie nabyty w dobrej wierze. Dla prostego wiejskiego złodzieja daleko korzystniej i łatwiej kraść zboże, las lub zapasy domowe, niż konie. Lecz koniokrada nęci trudność zawodu. Mając często stosunek z podsądnymi, przekonałem się, że w tym zawodzie, oprócz motywu korzyści, odegrywa wielką rolę zamiłowanie do rzemiosła, które wymaga niesłychanego sprytu, odwagi i bezczelności. Koniokrad chełpi się z roboty w trudnem zdobyciu konia, chociażby nie osiągnął żadnej korzyści, gotów nawet pochwalić się na cztery oczy przed poszkodowanym.

Niestety opryszki, wraz z całą falangą ludzi zajmujących się zbytem kradzionych koni (zwykle żydów) są w ścisłej zażyłości z niższą policyą miejscową. Nietylko głosi o tem wieść, lecz są nawet na to jasne dane sądowe. Najniższy organ policyjny, tak zwany „instytut uriadników,“ zdaje się być jedynie dla takich nadużyć stworzonym. Uriadnik pobiera 25 rs. pensyi miesięcznej, za którą powinien utrzymać konia, mieć przyzwoity mundur i nadzór nad swoim okręgiem, spisując protokóły o wszystkich zajściach i wypadkach kryminalnych. Utrzymać siebie, rodzinę i konia za 25 rs. i służyć uczciwie, będąc na każdym kroku wystawionym na pokusę otrzymania łapowego za pobłażliwość przy protokóle—to dla uriadników zadanie zbyt trudne. Wobec mnóstwa obowiązków formalnych, wtłoczonych na ich barki, policyant, nie będąc osobiście zainteresowanym, mało objawia energii w wyśledzeniu winnych; i skradzione na wsi konie, jeśli brak jasnych namacalnych poszlak, nie bywają nigdy odszukane. Korzystając z takiej niezaradności, zuchwały, zręczny złodziej powoli staje się postrachem wioski i w końcu dochodzi do tego, że mu gospodarze opłacają swój spokój. Gdy który od tego haraczu się uchyla, niechybnie mu konie znikają.

Raz złapany na gorącym uczynku opryszek i oddany w ręce sprawiedliwości, odsiedziawszy karę więzienną i powróciwszy do domu, staje się istną plagą wioski. Więzienia ostatecznie wykształcają go w przestępnem rzemiośle i wprowadzają w ścisłe stosunki z innymi złodziejami. Złapać go powtórnie już trudno, przytem włościanie znoszą jego zuchwalstwo z pokorą, obawiając się zemsty jego i jego współtowarzyszów. Niejeden pożar na wsi jest karą za wypowiedziane złodziejowi posłuszeństwo. Powszechnie daje się słyszeć przekonanie, że nasi koniokradzi „znają się,“ że istnieją uorganizowane towarzystwa złodziejskie, lecz jasnych śladów dotąd nie wykryto, chociaż poszlak nie braknie.

Szkody ponoszone z tej strony przez włościan są dość znaczne. W jednej np. niewielkiej wioseczce, składającej się z 33 chat („trydcat' chazjainiw i try złodii“—jak powiadają podsądni) w ciągu dwóch miesięcy skradziono bezpowrotnie 23 konie; w innej wsi, mającej 67 chat, w ciągu jesieni wyprowadzono 32. Strata okaże się dotkliwszą, gdy zwrócimy uwagę, że nie każda chata posiada konie.

Oprócz szkód, włościan niesłychanie rozdrażnia nierzetelność złodzieja w wypełnieniu warunków zawartej z nim umowy. Jeden podsądny tak się użalał: „kołyż niczym joho ne zahodyty; ja jomu piw kwarty postawyw i dwi mirky żyta widnis, a win takyj i moho konia wywiw.“ Na moją uwagę, że konia mógł skraść inny złodziej, włościanie jednogłośnie zaprzeczyli, zapewniając, że u nich obcy złodziej, bez pozwolenia ich rodzinnego, ukraść nie mógł.

Nie znajdując obrony żadnej przeciw takiemu łotrowi, wieś chwyta się ostatniej deski zbawienia: prosi na mocy przysługującego sobie prawa o wysłanie niemoralnego członka do Syberyi. O ile jest to zadanie proste, o tyle nadzwyczaj trudne w wykonaniu. Mało wioski nie mają samodzielnego prawomocnego zgromadzenia i sprawa musi otrzymać sankcyę zgromadzenia gminy (wołosti), gdzie wszystko zależy od *starszyny* (wójta), a jeszcze więcej od pisarza. Jest to szkopuł nielada, o który bardzo często rozbijają się najsłuszniejsze żądania. Przy szczęśliwym obrocie sprawy uchwała gminna idzie do władzy powiatowej włościańskiej, skąd częstokroć wraca bez potwierdzenia, z powodu niezachowania formalności itp. Naroszcie wszystko to opiera się o administracyą gubernialną, która sławną jest z przeciągania spraw do nieskończoności. Jeśli do tego dodamy obowiązek wsi złożenia znacznej sumy na koszta wysłania złodzieja z rodziną, to pojmiemy całą trudność takich przedsięwzięć dla ciemnych włościan, pozbawionych faktycznej, a nie urzędowej, inteligentnej opieki. Nie jestem pewny czy dziesiąty procent tych usiłowań dochodzi do skutku. W pięciu znanych mi procesach o samosąd, cztery wsie zarzuciły te bezskuteczne starania, straciwszy nie mało

OGNISKO DOMOWE.

Miałem lat dwadzieścia siedem. Byłem w tej porze życia, gdzie główną namiętnością człowieka jest miłość, a najsilniejszem jego pragnieniem — kobieta. W tym błogosławionym wieku młody człowiek patrzy tylko na drobne i zgrabne nóżki, na usteczka okolone słodkim uśmiechem, na te urocze profile, które, mijając go ze spuszczonemi oczami na ulicy, pozostawiają w nim żal, że tak prędko zniknęły, i nigdy się już może nie pokażą. W samotności kawalerskiego pokoju, niech głowa jak chce ujęta będzie pracą i powszedniemi troskami, na dnie wszystkich myśli, jako złote rybki na dnie stawu pływają znowu też same wdzięczne obrazki, mieszając się z sobą w różne stosunki i zawikłania jak w kalejdoskopie, potrącając w nas wszelkiego rodzaju uczuciowe struny, i tem więcej dające nam uczuwać pustkę, jaka dokoła nas panuje. A kiedy wreszcie snem zamkniemy oczy i myślimy, żeśmy się ich pozbyli, pojawiają się z nową siłą podniecconej wyobraźni, aby burzyć spokój młodzieńca i nęcić go do siebie powabem syrenim. W całej istocie człowieka, aż do najdrobniejszej żyłki, we wszystkich nerwach tętni wiecznie czujny ten jeden ton, odzywa się to jedno pragnienie, jakby nad nie niebyło silniejszego i wyższego w całom życiu i w całej naturze.

Doprawdy, istne to zbiorowisko pokus, żądz i burz wewnętrznych ta młodość... ten najszczęśliwszy nasz wiek.

Nic dziwnego, że w tej porze życia będąc i poddając się jak inni jej prawu, ze wszystkiemi jego dodatniemi i ujemnemi stronami, dałem się łatwo rozmarzyć uroczej muzyce Fausta, której pewnego wieczoru słuchałem w teatrze razem z licznie zgromadzoną publicznością. Rzewne, uczuciowe tony wychodzące z piersi Małgorzaty i namiętne wybuchy jej kochanka, podniosły o kilka stopni ciepłotę mojego i tak już gorącego serca. Nie poprzestając na muzyce, przywołałem sobie na pamięć genialny poemat, który tak szczęśliwie natchnął kompozytora, i tą czarującą, jak kielich najszlachetniejszego wina upajającą poezyą, oszołomiłem do reszty duszę, oderwałem ją od rzeczywistości i przeniosłem w krainy, o jakich mógł chyba zamarzyć najprawowierniejszy wyznawca Mahometa, gdy padając w boju za półksiężyc, spodziewał się iść do raju obiecanego przez Proroka.

Dobrze, ach! dobrze mi było. Zmysły moje tonęły w rozkosznych marzeniach, uszlachetnionych tchnieniem dwóch takich aniołów doskonałości, jak muzyka i poezya. Oczy zaszły mi mgłą, jakby rosą, której wilgoć najwyraźniej czułem, i przekonałem się wtedy, że nie naprożno ludzie mówią, że można różowo na świat patrzeć. Dla mnie literalnie cały teatr, scena i sala, śpiewacy i publiczność wydawali się jakby w różanej, przezroczystej fali pogrążeni. Nie potrzebuję dodawać, że w tym stanie byli oni dla mnie raczej jakąś gromadą cieni z pól Elizejskich, niżli żyjącymi ludźmi. Nawet najbliższych moich sąsiadów dobrze nie rozróżniałem, i nie mógłbym powiedzieć, czy siedziałem obok wyschłego emeryta, czy obok świeżego jak pączek podlotka, który po opuszczeniu pensyi pierwszy raz był w teatrze.

Po trzecim akcie wyszedłem przed teatr dla wypalenia nieodzownego papierosa, a wracając do sali, spóźniłem się trochę. Kurtyna już się podniosła i ze sceny zalatywały pierwsze takty chóru żołnierzy. Nie chciałem słuchaczów, a moich chwilowych sąsiadów niepokoić, i zamiast wrócić na swoje krzesło, stanąłem w szyi oddzielającej parter od lóż.

Energiczny rytm śpiewu żołnierzy, a może i świeże powietrze, którego przed chwilą zaczerpnąłem, rozwiały trochę w mojej głowie niedawne senne marzenia. Pragnienia i chęci, któremi się z taką lubością upajałem, zostały jednak w mej krwi i nerwach. Czułem się tylko trzeźwiejszy i dlatego, wyrwawszy się z bezprzedmiotowych rojeń, byłbym się chętnie rzucił na szyję rzeczywistości.

Pierwszy raz wtedy spojrzałem na ludzi z całą przytomnością; spojrzałem tam,

grosza na adwokatów pokątnych, na łapowe itp. Takie to ciężkie warunki, wśród których żyje nasza wioska, stworzyły obyczaj rozprawiania się z koniokradami na miejscu bez sądu i bez dowodów nawet. Przypatrzmy się teraz wytaczanym za podobny samosąd procesom kryminalnym.

Stosunkowo niewielka cyfra podobnych wykroczeń wywołuje dochodzenie z urzędu. Policya i władza śledcza dopiero wtedy zwracają na te „sprawy domowe" uwagę, gdy uchylić się nie mogą; a więc tylko w razie śmierci złodzieja lub jego skargi. Wobec sądu przysięgłych, oskarżenie motywowano wedle norm kodeksu karnego, zwykle tak brzmi: *zadali ciężkie obrażenia i rany w celu pozbawienia życia, następstwem czego była śmierć*; albo: *lecz śmierć nie nastąpiła z powodów niezależnych od złoczyńców*. Rzadko się zdarza czytać w akcie oskarżenia krótkie: *zadali ciężkie obrażenia i męczarnie*; a jeszcze rzadziej: *z liczby oskarżonych starosta i sotnik dopuścili się gwałtu i tortur przy wypełnieniu obowiązków służbowych*. Oskarżenia takie, jak już z samego ich brzmienia widzimy, nie odpowiadają przewinieniu, czuje w nich powien fałsz. Pochodzi to stąd, że kodeks karny nie uznaje innych przestępstw kwalifikowanych, posiadających też same zewnętrzne cechy gwałtu, jak zwykłe zabójstwo lub okrucieństwo. Wniknąwszy głębiej w charakter tej winy, przekonamy się, że ona zupełnie jest niepodobną do zwykłego karygodnego gwałtu, powodowanego chęcią zysku lub zemsty. W zabiciu i torturowaniu koniokrada rozważanem ze strony subjektywnej, jak każde kryminalne przewinienie rozważanem być winno, widzimy, że zadanie rany, tortury i wynikła stąd śmierć, nie są czynem samodzielnym, lecz tylko rezultatem innej winy zasadniczej, samowolnego wymierzania sprawiedliwości pomimo sankcyi prawnej. Zwykły łotr, zabijający ofiarę dla rabunku lub znęcający się nad powierzonym swej pieczy wychowańcem, jest szkodliwym i niebezpiecznym właśnie dla tego, że nie szanuje osobistej nietykalności człowieka; włościanie zaś, którzy się rozprawiali z koniokradem, nie są ani okrutnikami, ani zabójcami każdy z osobna, i w zwykłych stosunkach życiowych; przewinienie ich leży w tem, że na chwilę przywłaszczyli sobie najwyższą władzę sądową, a że sąd mas ludowych—sposób badania i kary—jest okrutny i straszny, oto obwiniać włościan nie można, bo to stanowi ogólną cechę etyczną. Gdyby ci włościanie nie badali złodzieja i nie sądzili go—nie popełnialiby tego występku, o który ich oskarżają. Pociągani więc są do odpowiedzialności nie za przywłaszczenie sobie władzy sądowej, lecz za następstwa samosądu, za pozbawienie swobody, za zadanie ran, tortur itp. Jeden z podsądnych, składając zeznanie, zapytuje: „jak każut', szczo konokrada byty ne można, to szczoż jomu robyty, szczob win koni wernuw i towaryszi w pokazaw?" On czuje, że go oskarżają tylko o użycie niedozwolonych środków samosądu i prosi, ażeby mu wskazano sposoby zarówno skuteczne, a nienaganne. Niestety odpowiedzi zadawalniającej nie znajdzie, bo nie wolno przywłaszczać sobie władzy, chociaż go o to nie oskarżają. Jeśli go sąd obwini, wieś pyta: więc jakichże środków wolno używać przy samosądzie? Jeśli oskarżonego uniewinnią—to taki wyrok w pojęciu ludu pozostanie sankcyą słuszności ich postępowania. Zwykły zabójca i okrutnik czuje, że popełnia zbrodnię, stara się ją ukryć. Przy samosądzie zaś włościanie działają otwarcie, biją i prowadzą do swołoka złodzieja z zupełnem przekonaniem, iż popełniają czyn słuszny, zgodny z wolą całej „gromady" i jej starszyzny. Postawienie więc samosądu wobec sądu przysięgłych i wobec prawdy, ale na jednym poziomie ze zwykłem łotrowstwem jest zupełnie niesłuszne; sędziowie znajdą się w wielkim kłopocie, szukając w tych włościanach złej i zbrodniczej woli, zadania gwałtu, bez których niema nigdy winy karygodnej. Z powodu takiego fałszywego oskarżenia następnie przy samem sądzeniu sprawy sędziowie natrafiają na mnóstwo szkopułów, którym żadna logika nie podoła. Gdy przyjdą do przekonania, że spełniono zbrodnię, pozostaje im pytanie: komu ją poczytać za winę i w jakiej mierze? Kto jakie zadał razy, obrażenia i tortury? Uczestniczyło osób kilkadziesiąt; każdy z nich albo faktycznie, albo moralnie przyjmował udział. Kilkunastu z nich posadzono na ławę oskarżonych, reszta występuje w roli świadków, którzy najnaiwniej opowiadają, iż sami do rozprawy czynnie należeli. Czyje uderzenia były prostą zniewagą, czyje torturą, czyje okazały się śmiertelne? Wszak przy takiem oskarżeniu sąd rozstrzyga winę każdego z osobna i każdy odpowiada tylko za siebie w miarę własnego przewinienia. Czy może tu być wyrok prawdziwy, gdy nikt nie jest w stanie rozstrzygnąć tych pytań jasno, kategorycznie? Dalej, należy odpowiedzieć, czyje i jakie razy były zadane z zamiarem sprawienia męczarni, a czyje z zamiarem zabicia? Czy wreszcie nikt nie pragnął śmierci złodzieja. W każdym takim wypadku, gdzie działają niewątpliwie instynkty masowe, pozostaje nadzwyczaj małe pole dla inicyatywy indywidualnej. Stąd nigdy nie znajdziemy granicy, gdzie się kończy dla każdego z oskarżonych świadomość swych postępków, a gdzie się zaczyna nieprzeparty wpływ fali instynktów zbiorowych.

Znam dosyć wyroków w podobnych sprawach, a żaden z nich nie zadowolnił nikogo, bo nie rozstrzygał treści sprawy, dotykając zaledwie niektórych ubocznych skutków samosądu. Wyroki uniewinniające, a takich najwięcej, sakcyonując z jednej strony w oczach ludu samosąd, są z drugiej tylko niemym protestem przeciwko brakowi dostatecznej prawnej obrony od koniokradztwa, protestem niestety, na który za długo nie zwrócono należytej uwagi. Wyroki, w których sędziowie obawiając się puścić płazem krwawy samosąd, wybrali kilku oskarżonych więcej energicznych i uznali ich za winnych *dla przykładu*, również demoralizują lud swą jawną niesprawiedliwością, gdyż cała wieś jest przekonaną, iż wina wszystkich, a nawet świadków, jest jednaką. Te i tamte wzmacniają rozbrat, jaki istnieje między ludnością a władzą. Po uniewinnieniu słyszymy: sam sąd mówi, że mieliśmy racyę, zabijając złodzieja, czegoż od nas chce policya i śledczy, i czego oni do naszych spraw się wtrącają? Po skazaniu zaś, czując w tem krzywdę i przemoc, żałują, że przynajmniej nie rozprawili się ze wszystkimi złodziejami: „jak uże terpity, to choť'by znat' za szczo!"

Podobne wyroki nie mogą wpłynąć na zmniejszenie liczby okrucieństw. Sprawy kryminalne, wytaczane włościanom za podobny samosąd sprawiają tylko rozdrażnienie i niechęć dla przedstawicieli władzy. Jedyny środek pozbycia się tego „lynchu" jest usunięcie jego potrzeby.

---

gdzie było najbliżej—do loży, obok której stałem.

Spojrzenie moje starło się w drodze z drugiem, jak dwie klingi szpad z nienacka na siebie nacierające. Poznałem w jednem mgnieniu oka, że tamto spojrzenie było dłuższe od mojego, że już od pewnego czasu spoczywało na mojej twarzy i obserwowało objawiające się na niej uczucia.

Wyobraźcie sobie mój zachwyt! Spojrzenie to należało do pięknej kobiety, do przepysznej brunetki, której karminowa cera na tle czarnych koronek jej gors otulujących tem świetniejszym błyszczała blaskiem.

Na raz jeden zagotowało mi się w sercu i zadrżałem cały pod ogniem tych aksamitnych, powłoczystych oczu. Moja sąsiadka spostrzegła to wrażenie i—nie mogłem pojąć mojego szczęścia!—nie rozgniewała się o to; jej usta poruszyły się niedostrzeżonem, słabem echem uśmiechu, który wzgląd na ludzi i przyzwoitość stłumić jej w sobie kazały.

Dla mnie było to dosyć; poznałem, że nie będę naprzykrzonym natrętem.

Zakochałem się w tej kobiecie w przeciągu pół minuty. Kilka spojrzeń, które zmieniliśmy ze sobą, wystarczyło na to. Powiedzieliśmy sobie niemi wszystko, co dwoje ludzi spotykających się z sobą po raz pierwszy w życiu a pociąganych do siebie tą siłą, która w dwóch ich różnych od siebie płcią istotach spoczywa, powiedzieć sobie może.

Odtąd czy patrzyłem na nią, czy nie, widziałem ją przed sobą i czułem na sobie ciepło jej spojrzenia. Niekiedy zdawało mi się, że czuję fale jej oddechu, i wdychałem je w siebie z roskoszą Sybaryty. Ah! byłbym dał w tej chwili połowę życia, gdybym tę kobietę mógł był objąć w swoje ramiona i pocałunkiem zamknąć jej usta.

Moja nieznajoma zajmowała w teatrze jedno z tych miejsc, na których zwykle zasiada arystokracya rodu, pieniędzy a czasem—bezwstydu. Widoczną jednak było dla mnie rzeczą, że do żadnej z tych arystokracyj ona nie należała, i za żadną uchodzić sobie nie życzyła. Nic z fałszywego tonu, nic wyszukanego i błyskotliwego, obliczonego na kokieteryjny efekt w niej nie dostrzegłem. Ubiór jej był w najlepszym smaku—ładny a skromny. Cała osoba tchnęła spokojem i poważną dystynkcyą, jakkolwiek w oczach jej widziałem tyle pokusy i zdradzające się mimowolnie błyski namiętności. Razem z nią w loży (bo i na to zwróciłem uwagę) znajdowały się jeszcze dwie kobiety, znacznie od niej starsze. Obie twarze sympatyczne i wzbudzające szacunek.

Nie miałem najmniejszej wątpliwości, że piękna nieznajoma była mężatką, i że w wieku byliśmy mniej więcej sobie rówieśnikami.

Przez dwa ostatnie akty, przez które ciągle uwaga moja zajęta była sąsiednią lożą, nie pokazał się w niej żaden mężczyzna. Zrozumiecie łaskawi czytelnicy, że to był jeden z najważniejszych punktów, na które zwracałem moją baczność. Dopiero na samym końcu widowiska, kiedy w sali zrobił się ten ruch między publicznością, który pokazuje, że każdy stawia już pierwszy krok do wyjścia, drzwi loży się otwarły, i wszedł jakiś niewielkiego wzrostu, widocznie starszy, ale żywych ruchów jegomość. Nie mogłem go dobrze widzieć, bo przez tę krótką chwilę został w głębi loży, zakryty cieniem. Pomógł kobietom do ubrania się, przemówił śród tego parę słów, i za chwilę wszyscy wyszli.

Patrzyłem za nieznajomą jak każdy zakochany spragniony ostatniego spojrzenia swego bóstwa i ciekawy czy je dostanie. Rzeczywiście, rzuciła mi na pożegnanie spojrzenie krótkie, ukośne, jakie mogła rzucić, będąc twarzą do wyjścia zwrócona.

Najgoretszą było moją chęcią śledzić całe to towarzystwo przy wyjściu z teatru. Pragnąłem choć coś o nieznajomej się dowiedzieć. Niestety! mimo biegania tam i napowrót, zaglądania pod kapelusze, zatrzymywania się przed każdym pojazdem i każdą gromadką ludzi, z tych, których chciałem, nie zobaczyłem nikogo.

(D. c. n.).

Adam Bełcikowski.

A jak ją usunąć—to inna kwestya, wobec której przychodzą na myśl rozmaite marzenia w dziedzinie oświaty ludowej, reformy administracyjnej, samorządu, sądownictwa itd.

C. Neyman.

DZIEJE KAPŁAŃSTWA.

III.

Wykazawszy w dalszym ciągu, że i w Peru starożytnem, czyli tak zwanem państwie Inków, oraz w Ameryce środkowej kapłani równe panującym zajmowali stanowisko, niemniej, że Müller (jeżeli wolno pojęcia nowoczesne przenosić na stosunki wieków zamierzchłych) wytworzony w tych krajach system hierarchiczny trafnie nazwał „cezaro-papizmem“ — Lippert przechodzi do egipcyan. W rozdziale tym znajdujemy przedewszystkiem obszerny, pełen erudycyi i zajmujących szczegółów wykład o pierwiastkach kultu religijnego, mytologii i fetyszyzmu staro-egipskiego, wykład, którego streszczenie dla braku miejsca pominąć musimy. Co do kapłanów samych uważani oni byli nietylko za pełnomocników bogów, na usługi których się poświęcali, ale nadto za opiekunów duszy wszelakiej, za doradców w najważniejszych wypadkach życia i pośrodnio za najwyższych sędziów sumienia. Król mienił się „synem bożym,“ „żyjącym obrazem boga;“ słowem był fetyszem wcielonym.“ Nazwa „nuter“ (bóg), obok „neb“ (pan) i „per-ao“ (farao) „wielki dom,“ stanowi nieodłączny jego przydomek. Zwracając się do niego, mówiono zawsze „świętobliwość.“ Kto go spotkał, musiał paść na twarz. On, który „dawał zbiory“ i „pomnażał ziarno,“ rzeczywistym był właścicielem ziemi całej, lud zaś był tylko cierpianym przez niego użytkownikiem. Ponad królem, często obok niego, zawsze przecież najbliżej jego osoby stał arcykapłan. Kapłaństwo bowiem, podług pojęć egipskich, po wsze czasy przechowywało władzę rządzącą, król zaś stanowił tylko chwilowo obrany jej organ. Kapłani, niezależnie od spełniania funkcyj czysto-religijnych, zajmowali się uprawą sztuk i nauk, oddawali się medycynie, astronomii, budownictwu itp. Charakteryzując bliżej położenie stanu tego i wzmiankując o uciążliwych przepisach co do czystości ciała, ubioru i innych ceremonij, jakim członkowie jego ulegać musieli, autor powołuje się na świadectwo Herodota, który dosłownie w tej mierze tak się wyraża: „Natomiast jednak mają i korzyści niemałe, gdyż z własności swojej nie spożywają nic i nie mają żadnych wydatków; wypiekanym jest dla nich chleb święty i każdy z nich codziennie otrzymuje znaczną ilość mięsa wołowego i gęsiego. Udzielanem im jest także wino z gron wyciśnięte, natomiast ryb jeść im niewolno. Bożek każdy ma nietylko jednego, ale wielu kapłanów, którzy mu służą, jeden z pomiędzy nich zaś jest arcykapłanem; jeżeli ten umrze, na jego miejsce wstępuje syn.“ Przez cały ciąg dziejów staro-egipskich widocznym jest najściślejszy związek pomiędzy kapłaństwem a królestwem. Już to z kolegiów kapłańskich wychodzą królowie, już też potomkowie tych ostatnich wracają do stanu kapłańskiego. Jeden z dowodów owego związku stanowi niewątpliwie to, że w czasie bezkrólewia, trwającego zazwyczaj dni siedmdziesiąt, ster rządu obejmowali kapłani. Znaczenie tej liczby siedmdziesiąt Lippert tłomaczy w ten sposób, że tyluż dni wymagały przygotowania do mumifikacyi i że póki te przygotowania nie były skończone, duch zmarłego nie mógł przejść do wieczności. Jest to, zdaniem jego, to samo wyobrażenie, podług którego i dziś jeszcze, u mahometan naprzykład, po śmierci kogoś w rodzinie stosunki majątkowe przez dni czterdzieści pozostają nietknięte i niezmienione. Jest to ten sam czas, jaki dawne chrześciaństwo oznacza również na dni czterdzieści, w ciągu których należy powtarzać egzekwie za umarłego, ten sam czas wreszcie, przez jaki po śmierci swojej Chrystus pozostał jeszcze na ziemi, zanim wstąpił do nieba. Długo w Egipcie trwały walki pomiędzy królami a kapłanami, aż wreszcie ci ostatni wzięli górę i wraz z dwudziestą pierwszą dynastyą sami zasiedli na tronie. Pierwszy król z owej dynastyi, Hirhor, przybrał tytuł urzędowy tej treści: „król górnego i dolnego Egiptu, arcykapłan i syn Amona.“ I kapłanek też nie brakło w Egipcie. Pierwsze miejsce pomiędzy niemi zajmowała arcykapłanka Amona tebańskiego, która była zarazem królową i nosiła tytuł „małżonki boga Amona.“ Strabon opowiada, że wybierano na ten cel najpiękniejszą dziewicę, pochodzącą zarazem z rodu najszlachetniejszego i dodaje, że kapłanka ta obok swych funkcyj religijnych, przez pewien czas prowadzi nierząd, użyczając swych wdzięków coraz innemu mężczyźnie, aż w końcu, w rodzaju zaszczytnego odznaczenia, zostaje żoną jednego z wyższych dygnitarzy państwowych. Stosunek małżeński kapłanek do boga nie nie jest specyalnością egipską, ale, jak wiemy, wspólny wielu ludom. Oprócz tych kapłanek w właściwem znaczeniu, w świątyniach egipskich zajętych było mnóstwo innych kobiet, które mylnie także brano za kapłanki, które atoli tego charakteru nie miały, lecz były zwyczajnemi służebnicami, powołanemi do utrzymywania czystości i spełniania innych obowiązków gospodarskich w obrębie miejsc bogom poświęconych.

Połowę blisko tomu drugiego Lippert poświęca kapłaństwu w Izraelu-Judzie, jak nazywa połączone dwanaście pokoleń izraelskich. W przeglądzie tym nietylko mówi o właściwych dziejach tej instytucyi, ale nadto obszernie zastanawia się nad pojęciami religijnemi, historyą, liturgią, formą rządu, a nawet i literaturą dawnych hebrajczyków. Szczegółów tych oczywiście w tem miejscu streszczać nie możemy. Odsyłając ciekawych do dzieła samego, ograniczamy się tu na przedstawieniu jego poglądów na kapłaństwo.

Początek zatargów pomiędzy kapłaństwem a władzą świecką w Izraelu widzi Lippert za czasów proroka Samuela, który pierwiastkowo niepodzielnie sam jeden sprawując urząd „sędziego“ (pod tem pojęciem rozumieć należy nietylko rozjemcę w sporach, ale i wodza naczelnego) i kapłana, pod koniec życia zmuszony był uledz żądaniom ludu i ustanowić króla, „dać mu namaszczenie“ czyli podzielić z nim władzę. Król ten odtąd nosi nazwę pomazańca Jehowy, a pierwszym z pomazańców takich był, jak wiadomo, Saul. Że zaś Saul przedewszystkiem dbał o dobro ludu, którego miłość pozyskał sobie czynami bohaterskimi i, niepomny na pochodzenie królewskiego majestatu swojego, dążył do zgnębienia kapłaństwa — przeto ze źródła tego ciągło wywiązywały się starcia, zakończone detronizacyą Saula i obiorem Dawida. Oto jest prawda historyczna zawarta w romantycznem opowiadaniu o szaleństwie Saula i o arfiarzu Dawidzie, powołanym do odegnania dręczącego go „złego ducha.“ Od króla Salomona począwszy, stosunki społeczne i państwowe w Palestynie zupełnie podobne są do tych, jakie widzieliśmy w Egipcie starożytnym. I tu i tam władza spoczywa na pierwiastku teokratyczno-patryarchalnym. Stan duchowny w dzisiejszem tego wyrazu znaczeniu dzielił się tam na dwie klasy: kapłanów i lewitów. Pierwsi wywodzili ród swój od Aarona, z pokolenia Lewi, koncentrowali się w Jerozolimie, spełniali obrzędy religijne w ścisłem pojęciu tego słowa i pozostawali w bezpośrednich stosunkach z bóstwem, byli prorokami, mającymi „widzenia boże.“ Drudzy, jakkolwiek z tego samego wyszli pokolenia, a nawet, według niektórych teologów, w prostej linii byli potomkami Mojżosza, zajmowali stanowisko podrzędniejsze, używani byli w świątyni do posług i czynności czysto-gospodarczych i mieli siedzibę swoją nietylko w Jerozolimie, lecz rozsiani byli po całym kraju. Głową wszystkich kapłanów i lewitów razem wziętych był arcykapłan czyli „wielki kapłan“ w Jerozolimie. Godność ta dziedziczną była w rodzie Cadoka, pierwszego arcykapłana w świątyni Salomonowej (około 1006 roku przed Chrystusem). Ostatnim arcykapłanem z rodu mahabejczyków był Antigonos, którego głowa na rozkaz Marka Antoniusza, tryumwira rzymskiego, stoczyła się pod mieczem katowskim (37 roku przed Chrystusem).

Przechodząc do późniejszych kolej kapłaństwa żydowskiego, Lippert powiada: „Król egipski panował jeszcze siedemdziesiąt dni po śmierci; kapłaństwo żydowskie zachowało siłę swoją przez długie stulecia po upadku. Duch jego żyje i żyć będzie w pismach po nim pozostałych.“

W końcu zaś zwraca uwagę, że kapłaństwo to, pomimo całej swej nieugiętości kastowej, znaczne jednak i godne podziwu z biegiem czasów uczyniło postępy. Dla pierwszego kapłana izraelskiego jeden tylko istniał obowiązek — wykonywania obrządków religijnych, a spełnienie tego obowiązku było najwyższą „sprawiedliwością.“ Prawda, że obok całego postępu i wsteczne żywioły nurtować nie przestały, ale jak bogatem i wtedy już musiało być duchowe życie narodu, o tem najlepiej świadczą słowa proroka Jezajasza, jakiemi przez niego przemawia Bóg: „Syt jestem całopaleń z kozłów i tłuszczu zwierzęcego; nie chcę krwi wołów, ani jagniąt, ni baranów! Wspomagajcie uciśnionych, wymierzajcie sprawiedliwość sierotom, przyjmijcie w sądzie stronę wdów!.. Wtenczas przyjdźcie, a rozprawimy się ze sobą... Gdyby grzechy wasze, jak szkarłat były czerwone, niechaj zbieleją jako śnieg; gdyby jak karmin były czerwone, jako wełna niech zbieleją!“

Islam, pod względem pojęć religijnych następca judaizmu, kulty na puszczy zrodzone i wyobrażenia o przedmiotach obrzędowych w jedną spoił całość—lecz żadnej nowej nie postawił myśli, żadnej nowej formy nie wytworzył. To też od czarnej ludności Arabii południowej aż do oazy damasceńskiej, od zatoki perskiej aż do ziemi Kanaan — wszędzie instytucya kapłanów w jednakowym rozwinęła się kierunku, nieraz tylko zmieniając nazwy. Mahomet, podobnie jak Samuel, jest jeszcze szeikiem i emirem, to jest kapłanem i panującym. Od jego czasów kalifat przybiera postać dualistyczną: „szeik-ul-islam“ jest prorokiem boga rządzącego, a sułtan jest królem fetyszowym, którego prorok odpycha, skoro taka jest wola Allacha. Prorok również posiada władzę karzącą nad sułtanem. Że zaś władza ta nie jest czczem słowem tylko, o tem świat się przekonał ze zgonu Abdul-azisa i Murada V. W odróżnieniu od kapłanów urzędowych zwanych „ulemami,“ w krajach mahometańskich utrzymały się jeszcze liczne zastępy kapłanów, z własnego przemysłu żyjących. Są to „derwisze,“ „fakiry,“ „bektasze,“ „chalweli“ i inni, tworzący rodzaj stowarzyszeń religijnych, a raczej zakonów, nie mieszkający wspólnie, lecz od czasu do czasu gromadzący się w „teké'ach“ czyli klasztorach w celu odbywania wspólnych ćwiczeń nabożnych. Ćwiczenia te w zupełności podobne są do sztuk tajemniczych, wyprawianych przez kapłanów-czarowników u dzikich, wśród krzyków przeraźliwych, omdleń, połykania ognia,

mieczów, igrzysk z wężami itp. Niektórzy z derwiszów zajmują się leczeniem chorób, inni są rzemieślnikami, jeszcze inni po prostu żyją z żebractwa, wszyscy zaś prześladowani są przez ulemów, gdyż istnienie podobnych zakonów wyraźnie przez Koran jest zakazane.

U syryjczyków, asyryjczyków, babylończyków i persów, wogóle semitami północy zwanych, zupełnie pokrewne napotykamy objawy. Kapłani tam noszą miano: magów, herbedów, mobedów, desturów itd. Dwa tylko nowe rysy dostrzegać się dają wśród pojęć odnośnych u ludów tych: upatrywanie fetyszów w ogniu i napoju ofiarnym — oraz wystąpienie na jaw potęgi „słowa“ w dziedzinie kultu religijnego. „Słowo“ poczyna być uważanem za najdzielniejszy środek leczniczy, w posiadaniu „słowa“ mieści się cała moc kapłana. W ostatnim z tych rysów okazuje się blizkie pokrewieństwo łączące naród Zondów ze szczepem indo-aryjskim. I u indyan (nad Indem i Gangesem) bóstwem najwyższem jest „Brahma,“ słowo skrzydlate.

Pokrewieństwo to prowadzi Lipperta do dziejów kapłaństwa w Indyach, przed i po Budaizmie, które w dalszym ciągu rozpatruje.

(D. c. n.).

Ad. J. Cohn.

Z GALICYI.

Lwów, 15 kwietnia 1885.

Sprzedaż „Narodówki.“ — Bohaterskie wystąpienie. — Działalność Dobrzańskiego na polu dziennikarstwa. — Widoki na przyszłość. — Teatr.

Wzmiankowałem już (w kronice), że Dobrzański sprzedał swoją połowę *Gazety nar.* dr. Czerwińskiemu, autorowi *Polityki nerwów*. W kilka dni potem odkupił Cz. i drugą połowę od Gromana i został w ten sposób wyłącznym właścicielem najstarszego po urzędowej gazecie organu lwowskiej prasy.

Fakt ten, dość ważny, przeszedł prawie *bez* wrażenia. Mówiono o nim przez dni kilkanaście, dzienniki notowały drobne szczególiki, doniosły nawet, że Dobrzański ze łzami w oczach podpisał kontrakt, usuwający go z posterunku, na którym wytrwał lat dwadzieścia i kilka—i na tem koniec. Przepraszam, znalazł się jeden człowiek, dawny kolega i towarzysz, który zmieniwszy już swą skórę w *Listach do przyjaciela*, przed kilku miesiącami dał się wynająć na konserwatywnego redaktora, a teraz gorliwie znieważa wszystko, co dawniej czcił i wielbił. Ten to bohater wyzyskał sposobność ustąpienia Dobrzańskiego z widowni publicznej, ażeby znowu spalić jeden most za sobą i możnym chlebodawcom dać dowód swej wiernej służby pod nowym sztandarem.

Jeżeli się nie mylę, mógłby już Dobrzański święcić 40 letni jubileusz swej dziennikarskiej pracy, której część najznaczniejsza przypadała wśród warunków niesłychanie uciążliwych, o jakich dziś trudno mieć wyobrażenie. Ciekawych pouczyć może szczegółowo *Literatura w Galicyi* Władysława Zawadzkiego, żyjącego świadka odrodzenia Galicyi *). Od chwili objęcia redakcyi *Dziennika mód paryskich* aż po dni nasze nie ustępował Dobrzański, brał nadzwyczaj czynny udział w życiu publicznem i zajmował się nieustannie pracą dziennikarską. Po *Dzienniku* redagował *Nowiny*, następnie *Dziennik literacki*. Lecz filarem jego znaczenia była *Narodówka*. Założona 15 marca 1862 przez Leszka Wiśniewskiego i Hipolita Stupnickiego, już w kilka miesięcy (w lipcu) przeszła pod redakcyę, a w następnym roku na własność Dobrzańskiego, który stworzył z niej pierwszy w Galicyi, wielki, niezawisły dziennik polityczny o barwie demokratycznej, cieszący się niesłychaną na ówczesne stosunki wziętością. Dość wspomnieć, że był czas, w którym *Jańcio* (pod tem mianem znany jest Dobrzański w kraju) zapomocą *Narodówki* trząsł literalnie całą Galicyą, a ze zdaniem jego liczono się nawet u góry.

Oceniając bezstronnie program *Gazety*, ze świeższej zwłaszcza doby, wyznać trzeba, że nie zawsze zasługiwała ona na taką wziętość i niejednokrotnie trudniła się pływaniem na wielką skalę. Prawdopodobnie ze względu na przeważną część swych abonentów, lubiła bujać na falach szerokiej, jeśli nie światowej, to przynajmniej europejskiej polityki a zwłaszcza stwarzać wojenne przepowiednie, nieraz schlebiała staroszlacheckim nałogom, popierała w znacznej części antisemityzm. Z drugiej strony jednak wysoko dzierżyła sztandar demokratyzmu, a w łamach jej zabrzmiała nieraz nuta postępu. Wszystko to jakoś godziło się ze sobą (zwyczajnie w Galicyi) a nie było niemal domu obywatelskiego, we wschodniej zwłaszcza części kraju, gdzieby *Narodówka* nie uchodziła za wyrocznię.

Z biegiem czasu niejedno uległo zmianie. Pisma wyrastały i znikały, powoli znikł i dawny wpływ *Jańcia*, ale *Narodówka* przetrwała to wszystko, głosząc stale krucyaty na „szrabjingełesów, centrałów, teutonów“ i rozpowiadając rozmaite historye o rublach. Dwudziestokilkoletnie istnienie wyrobiło jej koło czytelników, którzy bez pisma tego niemal obejść by się nie mogli, oraz cyfrę abonentów w naszych stosunkach nietylko poważną (do 2000), ale i mogącą zabezpieczyć swobodny byt i rozwój dalszy *Gazety*. Po autorze *Polityki nerwów* wolno się spodziewać, że śmielej, niż poprzednik, wkroczy na drogę postępu i usunie dawne błędy, zwłaszcza w odniesieniu do Rusinów. Że nadzieje te nie są bez podstawy, świadczy już kilka silniejszych artykułów a zwłaszcza jeden, o którym niedawno wam doniosłem, świadczy także częściowa zmiana grona współbracowników, jak poufnie zapewniają, jeszcze nieukończona...

Jednak podczas kilkutygodniowych dopiero rządów nowego właściciela *Gazety* nie zbrakło i błędów, które przeciwnikom dawały niepotrzebnie broń do ręki. Jakżeż można obwieszczać reformę, zapowiadając zmianę czcionek i papieru, lub też z olimpijskiej wysokości niejako wyrażać telegraficznie uznanie redakcyi własnego pisma za jakiś artykuł, a drugim razem depeszę wysyłać do sztabu wrogiego obozu, że ten i ów artykuł nie jest wyrazem przekonań właściciela pisma. a wreszcie, jak można prowadzić polemikę słowami brutalnemi choć z pismem takiem, jak *Przegląd?* Jeżeli *Gazeta* ma zdobyć sobie poważanie u ogółu i u wrogów, musi unikać takich niestosownych kroków.

Na zmianie właściciela *Gazety* traci najwięcej.... teatr, bo odpada mu urzędowy organ własny, odpada stała, szczodra rubryka pochwał. Nie przeczę, że teatr lwowski jest dobry, ale *Narodówka* przedstawiała go jako doskonałość a artystów jako znakomitości. Niczem Żółkowski, Rossi, Sonnenthal. pani Wolter, Modrzejowska, Popiel i t. d.—my tu mamy swoich, jeżeli nie większych, to takich samych. Wytworzyło to pewien stan chorobliwy, któremu ulegali i artyści, zbyt ufni w swe genialne zdolności, i inne pisma, które nie chcąc waśnić się z artystami i psuć ogólnej harmonii, bardzo wiele im przebaczały, i publiczność, która pod wpływem ciągłych pochwał zaczęła tracić właściwą miarę oceny.

Leszek.

*) Zawadzki nazywa Dob. „najruchliwszym i najzdolniejszym w Galicyi redaktorem“ i tak go charakteryzuje: „Umieć zawsze przeczuć smak czytającej publiczności, odgadnąć instynktownie, kiedy jej czego potrzeba, co w danej chwili jest poczytne i pożądane a zawsze się zręcznie według tego w prowadzeniu pisma zakierować, potrafić pociągnąć ku sobie młodsze zwłaszcza talenty, pożyteczne dzienniki, nie żałować ku temu ani nóg, ani głowy, przeczuć artykuł nietylko już w tece, ale nawet dopiero jeszcze w głowie autora się znajdujący i porwać go stamtąd dla swego pisma—oto sposoby i przymioty, którymi się odznaczał jego talent redaktorski.“ Niewątpliwie bardzo cenne przymioty, ale gdyby tak można dodać: wytknąć społeczeństwu jasny, zdrowy, szczerze postępowy program i takiego sztandaru nie opuszczać ani na chwilę—to społeczeństwo galicyjskie byłoby miało Dob. daleko więcej do zawdzięczenia, niż obecnie. (*Przyp. kor.*)

KORESPONDENCYA MICKIEWICZA *).

I.

Listy znakomitych ludzi mają niewymowny urok nietylko dla ciekawej publiczności, ale przedewszystkiem dla historyka i psychologa. Nie jest to niedyskretną żądzą, ani lokajską przysługą—jak się wyraził Klaczko—rozbierać do naga wielkiego męża, albo przypatrywać mu się, jak wygląda w szlafroku—w swej korespondencyi poufnej. Wnikanie w szczegóły powszedniego życia geniusza, wkładanie palca we wszystkie jego szuflady i drobiazgi, to wdzieranie się w prywatne, osobiste stosunki ma o wiele głębsze uzasadnienie. W listach spowiada się artysta z swoich uczuć i marzeń, z swych planów i dążeń; tam znajdziesz źródła jego utworów, sprężyny działalności jego. A jak pouczającym jest bieg żywota tych „wybranych,“ ich cierpienia i tryumfy, ich złudzenia i zawody! Nie obawiajmy się odsłonić ich domowego ogniska, tego ogródka, o którym mawiał Montaigne, że go w cieniu, zdala od ludzi, własnym uprawiamy znojem, cichemi oblewając łzami, i do którego bronił przystępu wszystkiemu, co żyje. Z tego ukrytego źródła płyną dla wiedzy i prawdy nieocenione korzyści, z tych notat, bilecików i brulionów stanie przed tobą człowiek cały, żywy, ze swemi myślami i uczuciami, ze swemi dążeniami i czynami. A poznanie człowieka jest, jak się zdaje, ostatecznym celem wiedzy i nauki.

W korespondencyi Mickiewicza niema zresztą obawy, aby to uchylenie zasłony prywatnej uczyniło jakąś ujmę dla chwały geniusza i narodu. Przebiegłszy te nowe karty poufne, czujesz niezmienne uwielbienie dla twórcy *Pana Tadeusza*, masz to samo niezmienne współczucie z obłędem geniusza w rzeczach polityki i religii, w sprawach społecznych i filozoficznych. Z obfitego zbioru tych nowych listów, skrzętnie zebranych przez syna poety, odnosi się znacznie większa część do osób zostających w bliższych lub dalszych z poetą stosunkach, przyczyniając się wielce do poznania tła, atmosfery i różnorodnych wpływów, na które był wystawiony jako człowiek i polityk.

Najwięcej mamy listów Domeyki, pisanych z Ameryki w latach 1839—55. Nie znajdujemy tu—jakby się spodziewać można od przyrodnika—obserwacyi kraju i ludu drugiej półkuli; są to listy gładkie i piękne, snute na tle motywów biblijnych. Czytając je, zazdrościsz panu rektorowi tego spokoju i szczęścia, jakiem oddycha.

*) Tom IV. Paryż, Księgarnia Luksemburska, 1885 str. 400.

Na co to łamać sobie głowę zagadnieniami życia, po co się dręczyć i męczyć, kiedy na łonie kościoła znajdziesz wszystko, i rozwiązanie wszystkich zagadek i zadowolenie i dobrobyt. Dalibóg szczęśliwi są prostaczkowie, do nich wyłącznie należy królestwo niebieskie... „Cicho, spokojnie, w zdrowiu i przy ciągłej pracy (zaledwo pracą mogące się nazwać) prowadzę życie. Tego lata założyłem ogród, który zasadziłem brzoskwiniami i pomarańczami, a w pośród nich na pamiątkę kraju zasadziłem kilka grusz i jabłoni. Staram się i pracuję wszelkiemi siłami mojemi, żeby zachować całą prostotę wiary naszej domowej i być takim, jakim byłem z maleństwa mego. Trzymajmy się oburącz władzy kościelnej, i bądźmy przedewszystkiem Jej posłuszni. Bolcję, płaczę nad wadami i światowością tych kapłanów próżnujących w Winnicy Pańskiej, ale dla Boga nie krzyczmy głośno, nawet na złych, aby nie dać zgorszenia...“

I Witwicki jest pobożnym, gorliwym katolikiem, jak to całe grono przyjaciół i towarzyszów Mickiewicza, które trafnie nazwał Słowacki „szkołą Lamenistów,“ ale korespondencya jego obudza żywsze zajęcie. Donosi on Mickiewiczowi wiernie o zajściach i nowościach na emigracyi, a zwłaszcza o tem ściślejszem kółku, do którego należał także Gorecki, Zaleski Bohdan, a pisze z humorem, z ironią, ciętem, zamaszystem piórem, chociaż był srogo trapiony chorobą zanikania szpiku i jeszcze okropniejszą kuracyą ówczesną. Trudno dać wyobrażenie o sposobie tego listowania, ale mniej więcej są to pisma w tym rodzaju: „Dwóch teraz na świecie rzeczy w żaden sposób zgadnąć, ani zrozumieć nie mogę: sprawy twojej z Francyą (a ma tu na myśli katedrę literatury słowiańskiej w *College de France*) i sprawy Mehmeta Ali z Palmerstonem. Przyjmujecie, czy nie przyjmujecie? Czy przyjdzie do wojny i katedry słowiańskiej, czy też wszystko zostanie w *statu quo?* Raz Wołowski odbiera zlecenie szukania już apartamentu. Ibrahim rozkaz przejścia Taurus, znów nowe negocyacye, nowe niepewności. Czy prawda, że jeden stoi koniecznie przy dodatku Syryi, drugi zaś biblioteki. Póki jeszcze dla Słowiańszczyzny (z powodu owej katedry) nie zapomnisz całkiem łaciny (Mickiewicz wykładał wówczas o literaturze rzymskiej w Lozannie), powiem ci językiem rzymian, iż na takie rzeczy trzeba być—cybulusem. Był tu mój brat z Clermont, i na nową medyczną próbę zaprosił koniecznie do siebie, mówiąc, że ma doskonałe pijawki, wyborne bańki i świeżutkie wizykatorye; nie mogłem mu tej małej grzeczności odmówić“ itd.

Listy ks. Kajsiewicza mówią przeważnie o sprawach duchownych, a zwłaszcza o Zmartwychstańcach. Fr. Malowski podaje niektóre szczegóły odnoszące się do dawnych kolegów filareckich, rozproszonych po świecie i obcych już dla siebie („Czeczota widział Tomasz Zan, ale się z sobą nie zrozumieli!“); do prelekcyi Mickiewicza w College odnoszą się listy francuskie Fauchera, Cousina, Quineta i Micheleta. Z wybitniejszych osób, które po jednym tylko, albo po kilka listów pisali do Mickiewicza, wymieniam następujące: Chopin, A. Czartoryski, Dawid (d'Angers), Kopitar, Lelewel, Montalembert, Niemcewicz, Sand, Słowacki, Stattler, Trentowski, Villemain—i wiele innych.

Z dokumentów, odnoszących się do Mickiewicza, zasługuje na uwagę wyciąg z metryk litewskich z 1522 roku dotyczący rodziny Mickiewiczów, a wyjaśniający powstanie nazwiska. Imię chrzestne ojca *Micko* (znaczące tyle co Mieczko, czy Mikołaj, jak Hryćko itp.) przydawano dawnym zwyczajem do imienia syna, stąd *Mickowicz*. Przekształcenie Mickowicza na Mick*ie*wicza jest pospolitem zjawiskiem, jak np. Tyszkowicz i Tyszkiewicz, albo Petko (Piotr) Petkowicz, Pietkiewicz. Dowód szlacheckiej rodowitości Mickiewiczów, wywody szlacheckie i drzewa genealogiczne mniej nas zajmują. (Przydomek rodziny: Rymwid i herb Poraj przychodzą w Dziadach i w Grażynie). Natomiast niepospolitej wagi są akty, odnoszące się do czasów filareckich Mickiewicza, których treść po krótce wymieniam: Egzamin kandydata Mickiewicza z 1819, pytania i odpowiedzi jego z literatury greckiej i rzymskiej, z mitologii i starożytności, z estetyki, poezyi i wymowy, z języka i literatury rosyjskiej, w końcu z logiki i historyi powszechnej. Papiery dotyczące urlopu Mickiewicza, profesora szkoły powiatowej kowieńskiej z 1820—23. *Szczegółowe* raporty urzędowe, odnoszące się do „związków buntowniczych“ uczniów uniwersytetu wileńskiego z 1820—24, ustęp z Pamiętników Malinowskiego, opisujący pobyt Mickiewicza w Rosyi (znacznie obszerniejszy, niż ten, który był drukowany w *Kronice rodzinnej* z 1875 r.) Plenipotencya i konfiskata, odnosząca się do kamienicy Mickiewiczów w Nowogródku, tudzież wyjątki z listów przyjaciół i znajomych Mickiewicza, w których są mniej ważne wiadomości o poecie. Nas tu zajmą listy samego Mickiewicza, o ile nowe światło rzucają na jego życie i rozwój umysłowy.

Szybko spłynęły lata chłopięce poety, lecz atmosfera czasu i miejsca, w której rosł i rozwijał się, była na całe życie decydującą. Nowogrodek, stare miasto książąt litewskich, a w opuszczonych murach świeże tradycye hucznych sejmików i zaciętych walk Radziwiłłów, Wołodkowiczów itp. rodzin; cudna przyroda w okolicy od Nowogródka ku Tuhanowiczom, rozkoszne doliny aż do Niemna, po wzgórzach gaje zielone, miejscami kurhany i ślady szańców; zaściankowa szlachta butna i swawolna, zjazdy, polowania, zapusty, po parafiach liczne kiermasze, w sądach pieniactwo, a przy stołach „kochajmy się“—oto mniej więcej sfera i otoczenie twórcy *Pana Tadeusza* w najrańszej młodości. Wrażenia i wpływy tego małego świata zachował poeta na zawsze w sercu i w fantazyi. Następuje drugi, wileński okres. Zapał młodzieży porywa go i rzuca w burzliwy wir życia, bierze czynny udział w towarzystwach, kocha się w Maryli nie bez wzajemności. Wkrótce chłodna, zimna rzeczywistość znosi te porywy młodociane duszy i zranione serce pragnie samotności. Znalazł ją poeta w romantycznem ustroniu u ujścia Wilii do Niemna, pamiętnem z krzyżackich i litewskich wypraw. Był to czas ciężkiej, wewnętrznej walki, czas, w którym odurzał się pracą nauczycielską, czytaniem pisaniem i spacerami. Odwiedza wtedy po wielokroć Wilno i kolegów, a uwolniony dla słabości zdrowia bawi tu przez cały rok 1821—2, zawiązując ściślejsze węzły z Filomatami. Następuje znana katastrofa 1823 r.

W trzech latach następnych objeżdża Rosyą najprzód z północy na południe, od Moskwy do Odesy, stamtąd podróżuje po Krymie, potem z Odesy znów do Moskwy i Petersburga. Ruch i nowość przedmiotów były mu zrazu ulgą, potem rozrywa się w towarzystwie światowem, zwiedza teatry i koncerty, obraca się w salonach rosyjskich, serdecznie przyjmowany przez literatów rosyjskich. Tu z bliska widzi i ocenia siłę materyalną i umysłową rosyan. Jest on jak przygasły wulkan, który masą lodu przywalony z wierzchu, żywi w swem wnętrzu do czasu zarzewie, a na zewnątrz przy ludziach stroi się w gajo i murawę, dopóki nie wybije godzina, że rozedrze górę i wyzionie lawę. Owocem tego okresu jest Walenrod.

(D. n.).

PIŚMIENNICTWO POLSKIE.

Leonard Sowiński **Wspomnienia szkolne.** Warszawa, 1885.

Sam autor kilkakrotnie w swej książce powtarza, iż to, co w niej napisał, jest przyczynkiem do dziejów szkolnictwa naszego. Ponieważ te dzieje, jako niestwarzane przez nas samych tylko, zawsze miewały niewesołe karty, p. Sowiński zaś dostarcza nam niektórych ciekawych rysów z najmniej wesołej ich doby, z czasów reakcyi między latami 1830 a 1856, przystoi więc obszerniejsza wzmianka jego opowiadaniu. Otóż, dowiadujemy się, że szkoła elementarna w Międzybożu, istniejąca za czasów autora, była całkowitem zaprzeczeniem prawdy, iż ludzie zdolni są przekazywać młodszemu pokoleniu rozumnie i szczerze płody nauki, uczuć i właściwości moralne, niezbędne w życiu zbiorowem. Pracowano usilnie nad tem, iżby uczeń, po powrocie na ferye do domu, czuł się, jakby po opuszczeniu piekła, a przejściu do raju, drżał zaś na samą myśl o szkole. Rózgi, rózgi, i jeszcze raz—rózgi, z szerokiem ujściem dla dowolności nauczyciela, pękanie linijek od mierzonych niemi razów w łapy ojców naszych. Możność roztaczania władzy człowieka nad człowiekiem i nadużywanie jej ze szkodą cech charakteru ucznia warunkowała się wtedy, prócz ogólnego rygoru, jeszcze także obcoplemiennością, nieuctwem i opilstwem nauczycielów... Lichy poziom umysłowy pedagogów oddziaływał ujemnie na stopień wiedzy u wychowańców, co zresztą musiało być nieuniknionem, skoro nauczyciele nie byli nimi z zawodu, lecz z nakazu; język francuski np.—wykładał francuz—akrobata, co zamiast przedmiotu narzuconego sobie, produkował się w klasie ze sztukami linoskokowemi. Słowem, Konarscy, Śniadeccy, Czaccy i Kołłątaje boleśnie musieliby w grobach się przewracać, widząc, w co się zmieniło dzieło komisyi edukacyjnej w swym dalszym rozwoju... W gimnazyum za to żytomierskiem, wedle opisu autora, rzeczy szły znośniej. Lepsi byli nauczyciele, niektórzy z nich wyszli z liceum krzemienieckiego, zorganizowanego niegdyś w myśl wymagań wychowawczych. Jednakże życie koszarowe, wyraz błędnej i przesadnie pojętej karności, dawało się i tam we znaki uczniom, rozwijając w tkliwszych z pomiędzy nich większą tęsknotę za atmosferą kółka rodzinnego. Objawy mniejszej urzędowości w obejściu się nauczycieli z młodzieżą szkolną—częstsze, stąd też i wyobraźnia pacholęca mniej złośliwie pracowała nad zmyślaniem dotkliwych dla mentorów przezwisk, darząc tylko łagodnie humorystycznemi. Wogóle to, com streścił, sam autor opowiada dość obrazowo, chociaż nadto anegdotycznie. Anegdoty zresztą, używane przezeń, miejscami nawet dosadnie charakteryzują ludzi i ich porządki. Szczegóły z życia pozaszkolnego, a mianowicie, to, jak autor dopełniał swą wiedzę urzędową na innej jeszcze drodze, czytaniem w domu, oraz rodzaj książek czytywanych, żywo uprzytomniają typowe u nas kształcenie umysłów — dorywcze a dowolne. Również i wyznanie autora, że wobec ojca brakło mu śmiałości wspominać o *nagiem ciele*, dobrze maluje słynną u nas otwartość w stosunkach rodzinnych, przyjazne warunki dla rozwoju charakterów zamkniętych. Praca p. Sowińskiego w istocie jest przyczynkiem do *dziejów szkolnictwa naszego* i słusznie może być oczekiwaną od autora druga serya wspomnień—uniwersyteckich, ciekawszych zapewne ze względu na świetną działalność reakcyjną pamiętnego „Bezrękiego...“ Czytelnik chętnie zajrzy do nich, zwłaszcza, że obraz czasów ubiegłych i obecnych mi-

mowolnie nasuwać mu będzie przysłowie o *garnku i kotle smolącym*, bodajby tylko nie spotkał już więcej niepoprawnej formy Tumanow*y*, zamiast Tumanow*owie* (str. 132).

Zygmunt Komar.

CURIOSUM.

Bolesław Bielinowicz, *Szkice historyczne*, zebrane i ułożone według najlepszych źródeł. Warszawa 1885.

Cudaczna książka, pod tytułem powyższym zwróciła dotychczas uwagę swoją komiczną stroną. Autora jej zbyto pobieżnemi wzmiankami jako naiwnego plagiatora, jako zabawnego maniaka. Ale bywają rozmaite rodzaje manii, jedne zupełnie niewinne, które raczej wzbudzić mogą litość, niżeli śmiech, inne zaś szkodliwe. P. Bielinowicz należy właśnie do tej drugiej kategoryi, zdradza on bowiem pociąg nietylko do przywłaszczeń literackich, do których po większej części sam przyznaje się dobrowolnie, ale i do kazirodztwa językowego. To już nie dziwaczne wybryki, ale uczynki, którym opinia publiczna pobłażać nie powinna.

„Dzieło“ p. Bielinowicza rozpoczyna przedruk rosyjski wstępu do historyi Karamzina, dalej idzie „wstęp ogólny“ dosłownie prawie przepisany z Buckle'a, zaopatrzony przypiskiem, w którym autor porównywa obu wymienionych historyków. Tu autor zapowiada, iż ma zamiar „skreślić w sposób przystępny i treściwy wpływ starożytności na rozwój dziejów średniowiecznych i następnie wyjaśnić stosunek epoki odrodzenia do naszych czasów“ a „słowa zachęty i pochwały, które mu udzielał drogi przyjaciel i protektor A. E. Odyniec oraz względność, z jaką krytyka przyjęła pracę Massoniusa (??)“ ośmielają go do wydania tej roboty.

Kreślenie to odbywa się w następujący sposób:

1) Przypisanie wierszowane po polsku jest tłomaczeniem z *Fausta* Goethego—o czem autor dyskretnie milczy.

2) Szkic pierwszy, Karol V-ty—przepisany (bez wzmianki o tem) z Prescotta, w tłomaczeniu p. Grabowskiego.

3) Szkic II—Faust Goethego podany jest w tłomaczeniu rosyjskiem Hubera, z przedmową i przypisami tegoż autora. P. Bielinowicz dodaje tu zresztą własne uwagi, t. j. w tych miejscach w których komentarze Hubera niepodobają się mu, dodaje objaśnienia F. Jezierskiego.

4) Szkic III-ci. Znaczenie Goethego w nauce i filozofii, jest znowu przepisanym z Lewesa. Gdyby chociaż p. Bielinowicz poprzestał na tem, ale dołącza on własne uwagi, takie np.—że „zastosowanie matematyki do nauk przyrodzonych przytępia zdolności człowieka“ itp.

5) Szkic IV-ty — Walter-Scott — to również przedruk z artykułu F. H. Lewestama p. t. „Poeci i prozaicy angielscy od końca XVIII wieku aż do Byrona.“

6) Szkic V-ty—Byron, także przedruk z Lewestama, poprzedzony przekładem rosyjskim ostatniego wiersza Byrona, dokonanym przez Herbela, i uzupełniony wyjątkiem z *Giaura*, w tłomaczeniu Mickiewicza.

Ta cudaczna i bezmyślna mieszanina nosi nazwę „szkiców historycznych,“ które p. Bielinowicz, jak powiada, „zebrał i ułożył według najlepszych źródeł.“ Tu i owdzie te „cudze głosy“ przeplatane są osobistemi wynurzeniami autora, w których wyraża on swoje uwielbienie i cześć, bądź toż dla „znakomitego uczonego“ prof. Lewestama, bądź dla również „znakomitego poety“—A. E. Odyńca. Tego ostatniego nazywa swoim przyjacielem i protektorem, czemu nie dziwimy się bynajmniej.

Najciekawszym z całego „dzieła“ jest przypisek na str. 184. Autor utożsamia krytyków i recenzentów warszawskich, przeciwnych niegdyś Mickiewiczowi, z ludźmi, którzy „dzisiaj pod nazwą postępowców składają obóz redakcyi *Prawdy* i w części *Ateneum*.“ „Na czele tego wspaniałego kierunku, który ma za zadanie, opierając się niby na nauce, zbijać niewzruszone, odwieczne prawdy religijne i obrzucać błotem to wszystko, co ludzkość (??) uznała za wielkie święte i nieskalane—stoją Świętochowski, Straszewicz, Chmielowski, Smoleński i kilku innych.“ Najgorszym okazuje się Straszewicz, nie mający „rzeczywistego talentu i poczucia poezyi,“ wszyscy zresztą są „duchowem potomstwem Słowackiego, który prawdziwej poezyi *nie miał ani trochę i obrzydzał tylko* swojem kradzionem naśladownictwem najpiękniejsze utwory Bajrona i Szekspira.“ „Do rzędu tych *bezdarnych frazeologów* należą między innemi Chmielowski, Orzeszkowa i Konopnicka.“

P. Bielinowicz sortując postępową pszenicę dodaje: „wszystko to co powiedziałem, odnosi się do pseudo-postępowców, których należy koniecznie odróżniać od partyi prawdziwie postępowej, którą reprezentuje *Przegląd tygodniowy* i jego naczelny redaktor Adam Wiślicki.“ O ile nagany autora są co najmniej obojętne, o tyle od pochwał—jak to mówią—robi się ciepło.

Nazwałem poprzednio p. Bielinowicza maniakiem, nie jest to jednak właściwa nazwa dla określenia jego stanu duchowego. Młody autor jest raczej, że użyję modnego dzisiaj terminu, psychopatą. Osobniki tego rodzaju odznaczają się brakiem pewnych właściwości moralnych, ale w życiu praktycznem posiadają spory zasób sprytu. Jako prawy konserwatysta p. Bielinowicz ma bliższe stosunki z rakami i wie dobrze, gdzie stworzenia te zimują. Umie też on za przykładem protektora natrafić na właściwy „ton chwili.“ Sądzę więc, że w tych świetlanych sferach, których istnieniu przeczą „bezdarni frazeologowie“ i pseudo-postępowcy, uwolnieni od doczesnych obowiązków mistrzowie autora, cieszą się z tej „świetnej tradycyi związku serc i duchów.“ Podzielają bezwątpienia ich radość, inni również poeci i profesorowie wszelkich rang, którzy spadli z ziemskiego etatu i wszystkie te dostojne cienie błogosławią pojętnego ucznia: Młodzieńcze! *sic itur*, nie *ad astra* wprawdzie, ale *ad astram*, bodajby trzeciej lub czwartej nawet... wielkości—na początek. A w takich razach tylko początek jest trudny.

Wiat.

TEATR.

Uwięziona, komedya w 1-ym akcie Z. Mellerowej.—*Hrabia Regent*, komedya w 1-ym akcie Anieli Tripplin. *Bilecik miłosny*, komedya w 1-ym akcie Michała Bałuckiego.

Nie wiem doprawdy, dla czego moi koledzy skrzywili się trochę na obrazek pani Mellerowej p. t. *Uwięziona*, który ma dużo prawdy, jest bezpretensyonalny i zrobiony bardzo zręcznie. Treść jego przypomina mi fakt znajomy z życia, i dla tego nie wydała mi się nieprawdopodobną. Zazdrosny Juliusz, dobry chłopak, ale nieco mazgaj, kocha do szaleństwa swą narzeczoną Wilę, pannę żwawą i dzielną, ale kokietkę upartą i dumną. Rozdrażniony jej zalotnością, podczas wizyty okolicznego Lowelasa zdobywa się na energię i zamyka ją na klucz w przymusowym areszcie, pod wpływem zazdrości, która do głupstw niejednokrotnie pobudza płeć brzydką. Wynika stąd zerwanie, rozpacz Juliusza, gniew Wili, która go kocha, ale nie może przełamać swej dumy—nareszcie po wielu awanturach i sprzeczkach kochankowie godzą się po to, aby w przyszłości utworzyć stadło, zostające pod rządami energicznej *hic mulier*. Zarzucano, że temat sztuki jest za ciężki na farsę, za lekki na dramat—dla mnie to nic nieznaczy, gdyż widzę w nim prawdę, która, choćby ją nie można zapisać w tę lub ową estetyczną rubryczkę wedle pojęcia teoretycznych taksatorów, zawsze jednak zostanie... prawdą. W ciasnych ramach jednoaktówki autorka przeprowadziła dwie główne postacie wcale wyraziście, nadała im charakterystykę psychiczną subtelnie wykończoną, inne figury traktowała szkicowo, ale dość zręcznie—więc czegoż tu żądać nadzwyczajnych rzeczy? Może tego, że pani Mellerowa nie wyzyskała przedmiotu dla farsowej łamigłówki, że nie siliła się na koncepty? Sztuka ta nie jest nadzwyczajnością, ale nosi na sobie cechę wytrawnego pióra, ma dużo zręcznie wyzyskanej obserwacyi, słucha się przyjemnie i zajmująco, a więc jest lepszym nabytkiem dla repertuaru od niejednego francuskiego fabrykatu. Co prawda jednak, w grze artystów brakło misternego wykończenia, które może takim obrazkom nadać pewien artystyczny powab. Panna Marcello, przyzwyczajona do kreślenia szerszych postaci, bardzo dobrze w zasadzie pochwyciła ton i temperament Wili, zaakcentowała miłość maskowaną przez upór i dumę — ale nie miała w szczegółach dość finezyi i wdzięku. P. Wolski grał z przejęciem się, ale ciągnął do komizmu rolę trudną, której należało dać odrębne charakterystyczne piętno. P. Śliwiński w roli kuzynka rzeźbiarza, był szczerze zabawnym, ale powierzchowność jego nie nadaje się do roli komicznych młodzieńców. Pani Ładnowska grała bardzo mile rolę mężateczki—tylko się nadto ładnie... przestroiła; p. Grzywiński oddał właściwie postać małżonka.

Drugą autorką, probującą sił swoich na polu scenicznem, jest panna Tripplinowna, której drobny obrazek *Hrabia Regent* zawiera ziarno zdrowej satyry na stosunki tak zwanego *beau monde*... Hrabia Żelski, widząc ruinę swego majątku, a chcąc go dźwignąć przez pracę i oszczędność, wpada na pomysł... udawania apopleksyi... Tym sztucznym manewrem paraliżuje w domu wszelką opozycyę. Żona mu ustępuje—jej stostrunia boi się go drażnić, zbytek został z domu wygnany, ojciec pracuje pomimo gderań kobiet, którym poprzewracano w głowach—syn został doktorem, a córka wychodzi za człowieka ukochanego, który nie jest hrabią ale umie pracować. Doprowadziwszy do skutku to małżeństwo, papa wyjaśnia wszystkim swą mistyfikacyę—sprawa zapija się szampanem i zdrowiem na cześć polskich żon, które wygląda dość dziwacznie, bo w komedyi owe panie są nieznośnemi babami, pełnemi śmiesznych frazesów. Treść sztuki nadaje się do świetnej satyrycznej farsy—ale autorka, mało obeznana z techniką sceniczną, nie mogła jej utrzymać w tym charakterze, wpadając w morały i rozpraszając się na szczegóły, niemające nic wspólnego z głównem założeniem. Więcej tu dobrych chęci i znajomości danej sfery, aniżeli charakterystyki figur rozpływającej się w ogólnikach. Najlepiej stosunkowo obrobiona postać główna—oraz sylwetka księżnej, zresztą rzecz prowadzona miękko, bez dramatycznego skupienia, chociaż ma parę zabawniejszych sytuacyi. Nie wiem tylko, po co przy końcu autorka wprowadziła żyda procentowicza, którego częstują szampanem, gdyż nawet liberalniejszy od hrabiego-regenta gospodarz domu kazałby takiego jegomościa podczas

wesela za drzwi wyprosić. Trudno odpowiedzieć, czy autorka, której zdolności ujawniły się użytecznie na polu dziennikarskiem i powieściowem, ma szanse w kierunku dramatycznym? W każdym razie wniosła ze sobą pierwiastek zdrowy, schwyciła na uczynku parę śmieszności wielkiego świata, wydrwiła przesądy rodowe—niech probuje dalej a może rezultaty okażą się pomyślniejsze. Sztukę grano starannie w mocnej obsadzie, gdyż role kilkowierszowe objęli dobrzy artyści. Hrabią Regentem był p. Leszczyński sympatyczny, pełen dystynkcyi i brawury. Nie wiadomo dlaczego zamiast wyzyskać komiczną stronę roli, domieszał do niej patosu. Wyborną za to jego małżonką była pani Niewiarowska, trafnie oddająca afektacyę dam wielko światowych. Szczęśliwie także przedstawia rolę skwaśniałej księżnej pani Ostrowska; p. Ostrowski typowo oddał jakiegoś żmudzina, który się tu plącze licho wie po co, p. Waliszewski niezłym był doktorem—inni nie mieli nic do roboty.

O jednoaktówce Bałuckiego *Bilecik miłosny* powiem to, co wszyscy, że jest zręcznie i mile napisaną drobnostką, że bardzo ładnie ją grali, panna Czaki, panowie Tatarkiewicz i Wolski. Zapytam tylko mimochodem autora *Sąsiadów*, czy zrobiwszy szczęśliwe wycieczki w dziedzinę farsy, da nam znowu jaką dzielną i jędrną satyrę społeczną?

S. K.

LIBERUM VETO.

Z życia. — Teorya typu. — Pod władzą frazesu. — Analiza logiczna. — Zyciowość dyabła i fantazyjność typu. — Co wolno. — Przekreślone rozumowanie. — Sztuka jako spotęgowane życie. — Jej stopnie. — Estetyka francusko-warszawska. — Mieszczaństwo w teatrze. — Filozofowie Shakespeare'a. — Odmykanie przyszłości. — Nowe żywioły i nowi mistrze.

A więc — z „życia."

„Nietylko francusko - warszawska, ale krytyka całego świata *jedno* ma dziś życzenie, *jedną* zasadę: iżby wszystkie sceniczne utwory brane były z życia i tylko z życia. Czasy, w których zajmowały postacie z mgły i *z fantazyi* stworzone, wypowiadające filozoficzne poglądy autora, minęły *bezpowrotnie...*

W sztuce nie chodzi o podobizny ludzi prywatnych, lecz o stworzenie kreacyj artystycznych z pewnego rodzaju lub pewnej klasy osób z ich wadami, zaletami, wpływem lub szkodliwością."

Oto jest przepis artystyczny, podany w *Gazecie polskiej* przez Incognitusa, jako odpowiedź na moje uwagi z powodu komedyi *Friebe*.

Byli ludzie, którzy reformowali religię, byli ludzie, którzy wynajdywali nowe maszyny, byli ludzie, którzy odkrywali nowe części świata, ale niemniej zasłużeni byli inni, którzy rozłupywali uświęcone frazesy i pokazywali, że one są puste. Takich ludzi epoka nasza gwałtownie potrzebuje. Każdy z nas nosi pełną sakwę rozmaitych zdań, któremi siebie i bliźnich karmi, a które posiadają wartość pozłoconych orzechów — dziurawych. Wyrzucamy słowa szumnie i skromnie brzmiące, przekonani, że one zawierają ścisłe myśli, a tymczasem pociągnięci do skrupulatnego rachunku nie umiemy się z nich wytłomaczyć. Mówimy o „prawach," „siłach," „przyczynach," „sztuce," „ideałach," ale gdy nas jaki Hume zapyta: co to jest właściwie owa „siła" lub „przyczyna" — odpowiadamy jak... Jowialski. W dziedzinie filozofii dawno już nie było ulewy, któraby spłukała ją i oczyściła — frazeologicznego też kurzu nagromadziło się mnóstwo.

Icognitus jest niewątpliwie pisarzem bardzo rozsądnym, światłym, logicznym, a jednakże zobaczmy, jak ulega frazesowi.

„Czasy — powiada on — w których zajmowały postacie z mgły i fantazyi stworzone, wypowiadające filozoficzne poglądy autora, minęły bezpowrotnie." Po cóż tedy teatr gra dziś *Fausta*, a nadewszystko czemu Incognitus zachwyca się *Snem nocy letniej?* Przecież Puki, Dudki i Spodki, to nie są postacie „brane z życia," ani też skupienia cech pewnego rodzaju ludzi. Jeżeli dziś nikt z „mgły i fantazyi" obrazów scenicznych nie tworzy, to pewnem jest tylko, że nikt nie tworzy, ale bynajmniej nie to, że one „minęły bezpowrotnie," zwłaszcza skoro dotąd są przedmiotem uwielbień. Anioł, dyabeł, smok, muza — wszakże to nie są figury „z życia," a przecież występują ciągle i długo jeszcze występować będą w rzeźbie i malarstwie.

Ale posuńmy ścisłość dalej: co to znaczy: „postacie z mgły i fantazyi stworzone," które już „minęły bezpowrotnie," a które mają być przeciwstawieniem do „branych z życia?" Czy pierwsze nie są czerpane „z życia" a drugie z „fantazyi?" Stara prawda Locke'a: „niema niczego w umyśle, co nie było w zmysłach" — domaga się tu przypomnienia. Jeśli wyrzeźbię, wymaluję, opiszę lub na scenie przedstawię dyabła, to chociaż takiej figury w życiu nie znajdujemy, tem nie mniej jest ona fantastyczną kombinacyą cech rzeczywistych, a taką samą formalnie kombinacyę stanowi zlepek znamion pewnego rodzaju ludzi w „typie," który także nie istnieje. Dyabeł jest równie rzeczywistym, jak „typ" fantazyjnym — czyli zasadnicza sprzeczność między nimi spoczywa tylko na frazesie.

We wszystkich sztukach „podobizna ludzi prywatnych" — portret, statua — może być utworem dramatycznym, w sztuce dramatycznej — według Incognitusa—nie. Czemu? Albo ja wiem. Wiem tylko, że tę teoryę podpiera frazes. Przypuśćmy, że pp. Jan, Kazimierz, Józef, Aniela, Zofia i Marya wybrali się na majówkę. We wsi wszakże, do której przybyli, spotykają gromadkę ludzi nagich i głodnych: wzruszeni nędzą oddają biedakom część swej odzieży i zapasy żywności. Ktoś tworzy z tego obrazek sceniczny. Można? Iowszem. A teraz przypuśćmy, że to samo towarzystwo nakradło we wsi chłopom kurcząt — można z tego usnuć komedyjkę? Bynajmniej. Więc właściwie owa „sztuka" nie zabrania czerpać z życia jednostkowego, ale zabrania dotykać stron ujemnych.

Poprzednio przytoczyłem Arystofanesa. Incognitus powiada: „Pomimo, iż *Obłoki* są *najpiękniejszem* z jego arcydzieł, zawarta w nich napaść na Sokratesa*) po dwóch tysiącach lat uważaną jest za czarną plamę na *charakterze* starożytnego poety." Zdaje mi się, że ta uwaga przekreśla całą teoryę „typu" branego „z życia;" bo skoro napaść na Sokratesa pozostawiła tylko „czarną plamę" na *charakterze* Arystofanesa a nie na komedyi, która jest „najpiękniejszem z jego arcydzieł" pomimo potwarczych zmyśleń, to widocznie satyra sceniczna zwrócona przeciw jednostce może być utworem artystycznym. Gdyby Matejko zabrał komuś farby i wymalował go niemi jako rzezimieszka, splamiłby swój „charakter," ale mógłby pomimo to stworzyć obraz piękny.

Sztuka według mnie jest kombinowaniem i potęgowaniem pierwiastków rzeczywistości; sztuka dramatyczna — kombinowaniem i potęgowaniem pierwiastków życia. Jeśli w lekkiem stężeniu i drobnych zmianach przedstawię życie człowieka, który mieszka na ulicy X pod nr. Y — będzie to potęga artystyczna pierwszego stopnia; jeżeli pójdę w uogólnieniu dalej i przestawię ludzi, streszczających w sobie znamiona pewnego stanu, narodu, rasy itd. — to będą potęgi i kombinacye wyższe. Rozróżniając to gatunki twórczości, nie należy temu lub innemu odmawiać racyi bytu i wszystkich po za wybranym potępiać.

Z estetyki możnaby bezpiecznie wykreślić słowo: powinien. Wiemy, co geniusz ludzki zrobił, ale nie wiemy, co zrobi — a najuroczystsze przykazania, gdy mu w drodze staną, połamie. Tymczasem estetyka francusko-warszawska buduje namiętnie arkę dla zakonu. Nazywam ją francuską dlatego, że nad Sekwaną zdjęto dla niej miarę. Za czasów Eschylesa, Sofoklesa, Arystofanesa, Shakespeare'a, Moliera, Schillera występował na scenie poeta, dziś — występuje zwykle magik lub akrobata; wtedy teatr był przybytkiem literatury, teraz jest głównie cyrkiem. We Francyi narodził się szereg talentów nie poetyckich, nie pisarskich, ale scenicznych, które tem łatwiej według swej natury ustaliły gust w Europie, że on odpowiadał upodobaniom najmocniejszej warstwy społecznej — mieszczaństwa. „Sztuka," będąca tu podniesieniem rzeczywistości do potęgi pierwszego stopnia, polega na wprawieniu w żywy ruch powszednich sprężyn życia. Ludzie powinni być pospolici, zdawkowi, „przeciętni," ich myśli nie głębokie, ich uczucia i namiętności niezbyt silne, a ponieważ lichy kompozytor zawsze usiłuje zakryć pustkę swego utworu pedałem lub szybkim tempem, więc i nowożytny komedyopisarz płytkość swych pomysłów zasłania żywością akcyi. Dla mieszczanina monolog Hamleta jest nudnym, ale scena, w której bohaterka musi śpiewać wesołą piosenkę, siedząc na szydłach — zajmującą. Ruch zewnętrzny zastępuje akcyę wewnętrzną; postacie sztuki kręcą się żwawo, ciągle wpadają i wybiegają a słuchacz teatralny zamienia się w widza — smuci się lub cieszy oczami. Czy prawowity mieszczanin, z duszą wyjałowiałą na geszeftach, pragnący w teatrze „rozerwać się," przedewszystkiem zaś niechcący trudzić swej myśli — czy ten człowiek może nie doznawać zadowolenia w sztuce, która mu nie przeszkadza spóźnić się o pół aktu, opuścić jeden, rozmawiać podczas widowiska z żoną i jej przyjaciółką, częstować je cukierkami — bez utraty wątku komedyi lub dramatu? A ci ludzie są dziś panami położenia — teatr więc musi im również służyć. Przed kilku miesiącami czytałem w jednej z gazet niemieckich następujące zdziwienie: „*Osobliwość!* Dziennik berliński *Tägliche Rundschau* rozpoczął w odcinku drukować dramat." I słusznie. Dziś utworów dramatycznych nie czyta się a często i nie drukuje. Są to bowiem jasełka mieszczańskie, libretta popisów aktorskich, ale nie literatura. Znam niejedną bardzo oklaskiwaną komedyę polską, której autorowi dałbym zły stopień ze stylistyki w klasie szóstej.

Jak wszędzie tedy, tak i w teatrze zapanowało mieszczaństwo ze swojem płytkiem, banalnem, powszednim komedyopisarstwem. Po za tą sferą ludzie ukształceni nie mają dla siebie sztuki dramatycznej, jeśli na scenę nie występuje którykolwiek z mistrzów starych. Wolę przez trzy godziny pić wodę warszawską, niż słuchać francuskiej lub po francusku skrojonej komedyi, tj. mizernie dyalogowanego rozdziału z akuszeryi lub kodeksu o podrzutkach i sprzeniewierzeniach. Gdybym rozmawiał z drozdem, nie zamknąłby on mi tak widnokręgu myśli, jak p. Sardou i jemu podobni. W nowoczesnym teatrze

---

*) Winienem sprostować omyłkę szan. autora, który twierdzi, że Arystofanes „nie znał zasad Sokratesa, boć znać *ich nie mógł*." Arystofanes znał zasady Sokratesa i znać je mógł, bo żył współcześnie, w jednem mieście, a umarł zaledwie o 11 lat później.

można się uśmiać lub rozrzewnić, ale prędzej można zgłupieć.

Postacie obecnych mistrzów nie filozofują! — to zaleta, to artyzm prawdziwy! Ach stary Wilu, jakie ty głupstwo zrobiłeś, kładąc w usta grabarzów filozoficzne uwagi nad czaszką ludzką! O ileż byłbyś większym, gdyby twój grabarz paplał sobie z towarzyszem o żydzie, który nabywa skradzione nieboszczykom pierścionki! Czy nie widzisz, jak aktorzy karki łamią na dumaniach Hamleta, próbując rozmaitymi sposobami fatalnego „być lub nie być,“ a publiczność ciągle uczuwa chęć ziewania i pragnęłaby „nie być“ przy tej filozofii. Nic dziwnego, tragedye Shakespeare'a są życiem w potędze *n*, a mieszczaństwo rozumie zaledwie życie podniesione do kwadratu.

I tak będzie póty, póki w społeczeństwie nie wypłyną na wierzch nowe żywioły, a w dramaturgii nowe talenty. Incognitus twierdzi, że czasy fantazyi i filozofowania minęły, a ja wróżę, że one dopiero nadejdą. Przyjdą mistrze, którzy jak Sofokles, jak Shakespeare, jak Molier znowu szeroko otworzą na scenie serca i umysły ludzkie, znowu, zmiótłszy z niej siatki mieszczańskich pająków rozwiną bogatą, barwną tkaninę wielkich myśli, wielkich namiętności i wielkich uczuć. Odlecą w przeszłość, jak babie lato, te wiotkie pasma głupich plotek, nizkich intryg, karlich pożądań, wszystkie nici, z których dzisiejsi fabrykanci tkają fartuchy, treny i tiurniury dla ogłupionej muzy teatralnej.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Kolonie letnie według pomysłu lubelskiego. — Rozczulające braterstwo stanów. — Brak szpitala. — Nierozumne i niedziwne. — Nasienie buraków. — Kłopoty cukrownicze. — Niedźwiedzia usługa.

Gazeta lubelska zabiera głos w sprawie dzieci ubogich, pragnąc dla nich urządzić coś w rodzaju kolonij letnich. Filantrop lubelski wymownie bardzo kreśli korzystne pod każdym względem skutki swego projektu, które jednak, wątpię, czy dadzą się osiągnąć, jeżeli będzie on urzeczywistniony w zamierzonej formie. Idzie o to, żeby obywatele ziemscy wzięli do siebie na lato po kilkoro ubogich dzieci. Autor sądzi, że „obcowanie takie dzieci ubogich z dziatwą pańską, pod okiem rozumnych przewodników, tylko najlepsze dla obu stron przynieść może wyniki.“ Najprzód, jak wiadomo, nawet „dziatwa pańska“ tych rozumnych przewodników zwykle nie posiada, a w każdym razie zakres przewodnictwa ich jest bardzo ograniczony. W normalnych zaś warunkach obcowanie polegać będzie na tem, że dzieci ubogie staną się ofiarą kaprysów młodych paniczów. Dobrze jeszcze, jeżeli szanowni dobroczyńcy nie każą im paść gęsi albo nierogacizny. W porze letniej istnieje wielki popyt na specyalistów od tych zajęć. Zapewne pasterstwo daje względnie dosyć zdrowia, i na rozwój fizyczny maleńkiego mieszczucha korzystnie wpłynąć może, ale czy wyniki tego „obcowania z naturą“ będą dlań również korzystne i pod względem moralnym? Sądzę, że jakkolwiek nie będą one gorsze od obcowania z „dziatwą pańską,“ zwłaszcza że w sferze tych zajęć łatwiej o „rozumne przewodnictwo“—jednak nie na tyle pożądane, żeby popierać tę mianowicie formę kolonii letnich.

Autor powyższego artykułu mimochodem, w kilku wyrazach zaledwie wspomina o strasznych warunkach, w jakich żyje uboga ludność Lublina. Ta krótka wzmianka narobić może kłopotu historykowi przyszłości. Jednocześnie bowiem *Dziennik łódzki* uważa położenie robotników miejscowych za nader pomyślne a ojcowską pieczołowitość fabrykantów łódzkich wskazuje jako wzór do naśladowania przemysłowcom rosyjskim. Ten pomyślny stan rzeczy w przedstawieniu korespondenta *Dn. Warsz.* przybiera cechy sielanki roskosznej, jakiej wymarzyć nie mogą nawet najzapaleńsi utopiści. I, doprawdy, chce mi się wierzyć, że tak jest, przemawiają bowiem za tem fakty.

Oto np. pijany majster zaczyna w sposób nie dwuznaczny wyjawiać swoje afekty do pięknej szynkarki. Mąż nadobnej Hebe wyrzuca za drzwi natręta i przy tej operacyi podbija mu oko. Robotnicy, pracujący pod dozorem owego majstra, dowiedziawszy się o tem, wpadają do szynkowni, tłuką i łamią, co się tylko da, strzelają z rewolwerów, jednem słowem objawiają zupełną łączność pracy z kapitałem, a raczej z narzędziami jego woli. To rozczulające braterstwo zwykle tak niezgodnych przedstawicieli różnych stopni hierarchii fabrycznej świadczy bezwątpienia o zupełnem zadowoleniu robotników łódzkich z istniejącego stanu rzeczy.

Dziwna rzecz, że w pobliskim Tomaszowie dzieje się wręcz przeciwnie, tam ludność robotnicza nie jest wcale zadowoloną, a zwłaszcza zaś z tego, że musi umierać bez żadnej pomocy lekarskiej. W mieście, liczącem 20,000 mieszkańców, Towarzystwo zachęty przemysłu i handlu, filię banku i kilka wielkich fabryk—niema dotąd szpitala. Dopiero w ostatnich czasach pomyślano o tem, pp. fabrykanci ponieśli w tym celu znaczną ofiarę, poszli bowiem na przedstawienie amatorskie, z którego dochód przeznaczony został na budowę lecznicy. Przy takiem szczodrobliwem poparciu zebrano około 800 rubli, przedstawienie dawano, rozumie się, w języku niemieckim. W tym wypadku cel najzupełniej uświęcał środki, bo teatr polski dałby tylko deficyt.

Kiedy robotnicy łódzcy dobitnie wyrażają program łączności wszystkich klas społeczeństwa, w lubelskiem chłopi nawet żywią wręcz przeciwne uczucia. W osadzie Biskupice zmarł rządca, nielubiony powszechnie przez mieszkańców za surowe obchodzenie się przy ściąganiu różnych należności i niemiłosierne licytowanie dłużników. Gdy na cmentarzu miejscowym zamierzono wymurować grób dla pochowania zwłok zmarłego, mieszkańcy nie pozwolili na to. Perswazye dziedzica i księdza nie pomogły, i dopiero wdanie się władz i straży ziemskiej złamało opór. *Słowo* uważa ten wypadek za dziwny objaw nierozumnej mściwości; że rozumnym nie jest—na to zgoda, ale dziwnym wydać się może on tym chyba, którzy zamiast serca noszą w piersiach zraz pańskiej pieczeni.

Warszawskie towarzystwo popierania przemysłu i handlu, rozprawiało obszernie bardzo w sprawie cukrownictwa. Nie będę bynajmniej streszczał przebiegu obrad, ale zanotuję tylko szczegół, który obchodzić może czytelników wiejskich. Jeden z członków wniósł projekt nałożenia cła na nasienie buraków, sprowadzane z zagranicy. Faktem jest, że u nas uprawa buraków nasiennych posiada wszelkie widoki powodzenia, że nawet po części dziś już istnieje, ale niemniej również jest faktem, że cukrownie nasze sprowadzają je z zagranicy. Wypadkowo zdarzyła mi się niedawno sposobność bliższego poznania tej sprawy. Jeden z obywateli od lat kilku plantujący takie buraki, przysłał do Warszawy dosyć znaczną partyę tego produktu na sprzedaż. Pomimo tego, że posiadał świadectwa od kilku cukrowni i poważnych plantatorów, stwierdzające, iż nasienie przezeń dostarczane odpowiada wszelkim wymaganiom, nie mógł zbyć ani funta. PP. właściciele cukrowni, do których się udawał, odesłali go do dyrektorów, ci zaś nie chcieli nawet mówić o kupnie. Dopiero ktoś wtajemniczony w podobne operacye objaśnił go, że interes taki można zrobić tylko przez faktora, ponieważ pp. dyrektorowie za przyjęcie nasienia biorą od sprzedaży spory procent, który w danym wypadku w połączeniu z faktornem wynosił tak znaczną sumę, że obywatel wolał zbyć nasienie za niską cenę składnikom, a ci potem sprzedawali je zapewne jako zagraniczne. Wobec tego zachęta do uprawy buraków na nasienie nie ma racyi, i tylko chyba wysokie cło wpłynąć by mogło na zmianę stanu rzeczy.

Cukrownictwo nasze przechodzi dziś ciężkie przesilenie, którego wszystkie powody nie zostały jeszcze dostatecznie wyjaśnione. Obecnie cukrownie na Podolu i Ukrainie znajdą nowych współzawodników w gubernii chersońskiej. Przepisy dotyczące własności ziemskiej wpłyną wielce na przeniesienie i utrwalenie tam przemysłu cukrowniczego.

Drugim warunkiem pomyślności jest łatwa dostawa paliwa mineralnego. Dzisiaj cukrownie, gorzelnie i browary w trzech południowo-zachodnich guberniach potrzebują rocznie 400,000 sążni sześciennych drzewa, t. j. dla dostarczenia tej ilości wyciąć należy 20,000 dziesięcin lasu. Nic dziwnego, że lasy znikają i niedługo nie będzie nawet „powiesić się na czem.“

Filia banku w Radomiu wydała postanowienie, żeby każdy dłużnik dopełniał dyskonta weksli osobiście. Jeżeli celem nowego przepisu było usunięcie pośrednictwa faktorów i lichwiarzy, to pozbycie się tej plagi kosztować będzie za drogo. Obywatel ziemski, korzystający z kredytu, płaci zwykle weksel trzy razy do roku, obecnie będzie on musiał przyjeżdżać osobiście, co pociągnie za sobą dziesięć razy większy wydatek, aniżeli procent płacony usłużnemu pośrednikowi. Niefortunny ten pomysł filii radomskiej przypomina owego niedźwiedzia z bajki, który chcąc spędzić muchę z łysiny swego opiekuna, ugodził go kamieniem.

N.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 30 kwietnia.

Możliwość załatwienia pokojowego zatargu anglo-rosyjskiego nie zniknęła dotychczas, pomimo zawotowania przez parlament żądanego kredytu 11 milionów funtów szt., pomimo przygotowań wojennych obu mocarstw i wyzywających oświadczeń prasy. Anglia trwa przy swojem żądaniu, ażeby rząd rosyjski potępił działania gen. Komarowa, widząc jednak, że pożądanej odpowiedzi spodziewać się nie może, proponuje pośrednictwo, a raczej zdanie się na sąd trzeciego mocarstwa. Stosunki jednak ułożyły się w ten sposób, że mocarstwa takiego niepodobna prawie znaleźć. Niemcy i Austrya związane są przymierzem z Rosyą, z Francyą wynikły pewne nieporozumienia, Stanom Zjednoczonym zaś współzawodniczka ich nie ufa. Pośrednictwo zresztą nie rozstrzyga stanowczo sporu; w ciągu dwudziestu lat ostatnich przed każdą wojną uciekano się do tego środka, który nigdy orężnego starcia nieodwrócił. Prasa angielska przewiduje, że możliwem jest zerwanie stosunków dyplomatycznych z Rosyą, pociesza się wszakże, że i ten krok jeszcze nie oznacza wojny.

Tymczasem uzbrojenia i przygotowania przyjmują coraz szersze rozmiary. Rząd angielski zakupił kilkanaście okrętów handlowych, aby przerobić je na wojenne; te-

legramy z Christyanii donoszą o spotkaniu przez statek norwezki eskadry brytańskiej złożonej z 14 okrętów, która zwróciła się na morze baltyckie. Z drugiej strony, w Kronsztadzie i innych portach dniem i nocą trwa gorączkowa czynność, szczególniej zaś przygotowują wielki zapas min i torped do uzbrojenia brzegów. Prasa rosyjska twierdzi, że całe prawie wybrzeże baltyckie jest najzupełniej ubezpieczone i chyba tylko w okolicach Libawy i Windawy anglicy mogli by zrządzić znaczne szkody. Liczba krejserów rosyjskich została znacznie pomnożoną, na wypadek wojny statki te mogłyby zaszkodzić wiele flocie handlowej angielskiej.

Pewne wrażenie sprawił rozkaz rosyjskiego ministeryum wojny o powiększeniu etatu oficerów w pułkach piechoty; postanowienie to uważano jest jako pierwszy krok do uruchomienia armii.

O przymierzu Anglii z Turcyą umilkły pogłoski, ale natomiast rozeszła się wiadomość o układach z Chinami. Nagło ustępstwo chińczyków po zwycięztwie i zawarcie pokoju z Francyą nastąpiły podobno właśnie wskutek namowy Anglii, która na wypadek wojny pragnie z Chin zrobić sobie czynnego sprzymierzeńca.

O rokowaniach z Włochami nie wiadomo nic pewnego, gdyż trzymane są w ścisłej tajemnicy. Pewnem jest jednak, że w Rzymie przygotowują nową wyprawę do Afryki, oraz, że rząd włoski zawarł umowy z towarzystwami prywatnemi o nabycie kilku okrętów handlowych dla przerobienia ich na wojenne. Powodu wmieszania się do spraw sudańskich dostarczyć może Włochom porażka, jaką podobno poniosły ich wojska w okolicach Massawy.

Niespodziewanie stosunki Anglii z Francyą naprężyły się bardzo. Policya egipska, zdaje się, że z namowy anglików, wdarła się do redakcyi dziennika *Bosphore egyptien*, który otwarcie występował przeciw zdzierstwom i nadużyciom władz egipskich i urzędników angielskich, połamała prasy drukarskie i znieważyła redaktora. Francya czyn ten uważa za pogwałcenie t. z. kapitulacyj, zażądała więc zadosyć uczynienia i grozi zerwaniem stosunków dyplomatycznych z Kedywem. Bezpośrednio anglicy nie są tu zainteresowani, nadrabiają więc miną i usiłują nawet po niewczasie odegrać rolę pośredników.

Wobec możliwości wielkiej wojny wszystkie inne sprawy polityczne schodzą na drugi plan. Zanotujemy tu tylko, że w przewidywaniu przyszłych wyborów monarchiści francuscy zawarli między sobą sojusz i wystawić zamierzają wspólnych kandydatów, oraz, że rada związkowa niemiecka przyjęła do zatwierdzenia projekt umowy Rosyi z Niemcami o wzajemne wydawanie przestępców, zupełnie podobny do poprzedniego układu z rządem pruskim.

Wiedeń. *Politische Correspondenz* donosi z Londynu, że gabinet angielski stracił nadzieję utrzymania pokoju. Sfery rządowe w Wiedniu wątpią również o możliwości polubownego załatwienia sporu; to przekonanie panuje także w Paryżu.

Petersburg. *Praw Wiestnik* zamieszcza obszerny komunikat, zbijający doniesienia komisarza angielskiego Lumsdena, według którego stroną zaczepną był gen. Komarow.

Londyn. Mowa Gladstone'a w Izbie gmin podniosła mocno wojownicze usposobienie Anglii.

Wiedeń. Cesarz upewnił deputacyę rusińską, że zajęcie klasztoru w Dobromilu przez jezuitów jest tylko czasowem.

CUDZE GŁOSY.

Klęski parlamentarne posłów polskich we Wiedniu wywarły w kraju bolesne wrażenie. *Reforma* zastanawiając się nad nimi mówi z ironią o działalności sojuszu skrajno-zachodniej krakowszczyzny stańczykowskiej połączonej ze skrajno-wschodnią podolszczyzną, który to sojusz pysznił się zawsze swą uprzywilejowaną mądrością stanu. Zasady tej mądrości polegały na tem, ażeby nie kierować się zasadami, program, ażeby nie kierować się programem, działalność, ażeby nic nie zdziałać dla kraju. Fakty wskazały, do czego ta mądrość stanu doprowadziła a trudno sobie wyobrazić większy, ale i bolesniejszy tryumf od tego, który te fakty przeciwnikom owej mądrej polityki tuż przed upływem sześciolecia poselskiego zgotowały. Zdaniem *Reformy* jednak tryumfować w tej chwili się nie godzi:

„tryumf taki byłby zbrodnią, byłby zdradą interesu krajowego. Że nasza reprezentacya u parlamentu austr. nietylko nic dla kraju nie zdziałała lecz owszem niejeden ciężar nań przyjęła, i nie jedno złe nań dopuściła, z tego nikt przecież cieszyć się nie może, kto nie chce być posądzony o rzeczywiste warcholstwo.“

Z drugiej strony żąda *Reforma*, ażeby owa koalicya stańczykowsko-podolska po takim wyniku swych rządów nie usiłowała się utrzymać przy sterze interesów krajowych i uznała błędy swej sześcioletniej polityki.

Nam się zdaje, że takie sentymentalne żądania do niczego nie doprowadzą a partya konserwatywna wcale na nie oglądać się nie będzie. Daleko trafniejszem byłoby skorzystać z położenia i zorganizować stronnictwo postępowe. któreby ster polityki w swoje uchwyciło ręce.

Zamiary rusinów. Z powodu zbliżających się w Galicyi wyborów do Rady państwa, nowo-założony dziennik rusiński *Mir*, organ wyższego duchowieństwa unickiego, radzi, żeby centralny komitet polski do grona swego wezwał odpowiednią ilość rusinów.

„Ten nasz projekt znalazł zarówno u rusinów, jak i polaków, którym już sprzykrzyła się dotychczasowa polityka obwinień i waśni, powszechną sympatyę, jako prosty środek, któryby dotychczasowemu niezadowoleniu koniec położył, a szczególnie zaś ochroniłby nasz kraj od rany demoralizacyi, występującej u nas zawsze podczas wyborów.

Czy nasz projekt doprowadzi do pożądanego celu—nie poważamy się rozstrzygać; mniemamy jednak, że podnosząc go, spełniliśmy tylko nasz obowiązek obywatelski i że w razie, gdyby pozytywnym skutkiem uwieńczony został, to kraj i oba zamieszkujące w nim narody wiele a wieleby na tem skorzystały.“

Dziennik rusiński sądzi, że wtedy weszłaby do Rady państwa

„taka reprezentacya, któraby kierując się jedynie dobrem mieszkańców, nie rozpadała się na stronnictwa narodowo-polityczne, ale występując solidarnie w obronie wspólnych spraw i interesów krajowych, zajęła w przedlitawskim parlamencie stanowisko tak silne, iżby z jej głosem sfery decydujące każdego czasu i w każdej sprawie liczyć się były zniewolone.“

Reprezentacya taka istniała już raz w miodowych miesiącach parlamentaryzmu austryackiego, ale ostatecznie doprowadziła tylko do zerwania umowy zawartej między stronami.

W dzisiejszych okolicznościach projekt *Miru* tembardziej niema żadnych widoków urzeczywistnienia.

PRASA ROSYJSKA.

Polemika. P. Kojałowicz wydał grubą książkę p. t. *Dzieje samowiedzy rosyjskiej*, oznaczając tą nazwą urzędowe i nieurzędowe usiłowania podniesienia żywiołu rosyjskiego na Litwie i Białej Rusi. W kwietniowym zeszycie *Wiestnika Jewropy* świeżo zmarły historyk Kostomarow daje o tem dziele sprawozdanie, z którego ciekawe ustępy przytaczamy według *Gazety polskiej*:

„Nazwa książki powyższej,—tak dalece jest mądra i dla prostych śmiertelników niezrozumiała, że wypada żałować, iż autor na kartce tytułowej nie umieścił komentarza do wymyślonego przez się nagłówka.“

Kostomarow zbija zasadniczą myśl doktryny sławianofilskiej, której wyznawcą jest, rozumie, się p. Kojałowicz, że Rosya niczego nie zawdzięcza Zachodowi w dziedzinie oświaty i że nawet oswobodzenie włościan jest

„zwrotem do pierwiastków starożytnego dziejowego życia rosyjskiego i zaprzeczeniem wyraźnem pierwiastków cywilizacyjnych zachodnio-europejskich, przyswojonych sobie; co się zaś tyczy poddaństwa włościan, znajduje się ono w związku, daleko ściślejszym z tymi pierwiastkami zachodnio-europejskimi, aniżeli z rosyjskiemi potrzebami.“ Skąd wynika myśl oswobodzenia włościan?—zapytuje Kostomarow. „Czyż ze wspomnień o Rosyi starożytnej, ze wzorów bytu jej przeszłego? Czy może z nauk cerkwi prawosławnej? Alež przedstawiciele cerkwi przez długi czas propagowali jedno i to samo: niewolnicy, ulegajcie panom! Nie! myśl ta przyszła do nas z Francyi.“ „Kiedy ułożono i ogłoszono konstytucyę 3 maja, natychmiast Rosya i Prusy zaprotestowały w imie zachowania podstaw świętych porządku społecznego...“ Polaków nie słuchano—i mocą oręża zniszczono wszystkie owoce działalności, przedsięwziętej w celu odrodzenia ojczyzny.

Długotrwały i w części sławny okres dziejowy ziemi litewskiej w czasie połączenia jej z Polską, przytacza Kostomarow zdanie Siemionowa w *Żiwopisnoj Rossii*—nadały tej ziemi takie cywilizacyjno-dziejowe pierwiastki i cechy, jakie nie mogły z jej oblicza zniknąć w ciągu stulecia i nie mogą być sztucznie zniweczonemi. Szlachta polska albo spolszczona, nawet drobna, wraz ze swą mową rodowitą, mającą punkt oporu w bogatem i dla każdego Polaka drogiem piśmiennictwie, wraz ze swą religią i podaniami dziejowemi, wysoką w swoim czasie i dość samoistną oświatą nie może być ani wynarodowioną, ani zniszczoną w kraju, ani zeń wypartą i nadługo jeszcze pozostanie jednym z najważniejszych cywilizacyjno-dziejowych pierwiastków ziemi.“ „Zdarzało nam się słyszeć całe dziesiątki razy o podobnych rzeczach pod rozmaitemi postaciami, od rosyan z pochodzenia i prawosławnych z wyznania, zrodzonych na Białejrusi: między innemi komunikowano nam, że większość rodzin duchownych prawosławnych w tym kraju nie umie mówić po rosyjsku i używa w domu języka polskiego; że wiele jest rodziu takich, w których żony, córki i siostry kapłanów nie znają nawet z imienia pisarzy znakomitych rosyjskich, a tymczasem umieją napamięć urywki z poezyi pisarzy polskich. Tak głęboko wszczepiła się w ogół oświata polska.“

Kostomarowa nikt chyba nie posądzi o sprzyjanie polakom, owszem zarzucić mu możemy raczej tendencyjne uprzedzenie względem nas: tembardziej więc słowa jego warto są zaznaczenia.

Mosk. wiedomosti piszą:

„Czas już nam rosyanom otrząsnąć się z odurzenia, w które wprawiały nas wszelkie wahania ostatniej doby, zaznaczonej układem z Watykanem. Czas nareszcie zrozumieć, że interesy katolicyzmu, a zwłaszcza katolicyzmu tak ściśle związanego z polonizmem, nie mogą należeć do zadań państwa rosyjskiego. Nie nam przystało chodzić do Kanosy, skoro w niej przytem ludzie oddają się na usługi otwarcie nieprzychylnej dla nas intrydze politycznej. Władza państwowa rosyjska, stąpając krokiem niezachwianym po wytkniętej drodze obrony interesów przeważnej części ludności gubernij zachodnio-rosyjskich, spełni w całem znaczeniu swój obowiązek wzglę-

dem narodu rosyjskiego. Ażeby zaś tego dokonać, na to nie potrzeba robić żadnych ustępstw dla nieprzyjaznej nam kliki, otaczającej arcykapłana rzymskiego. Jeżeli ten ostatni jest dobrym pasterzem swej owczarni, to sam się postara o byt spokojny swojego kościoła w Rosyi.“

KRONIKA BIEŻĄCA.

Prasa. Dr. Polak zamierza wydawać miesięcznik pod tytułem *Zdrowie*, poświęcony hygienie. Znana płodność autorska wydawcy ręczy, że artykułów pismu nie zabraknie, idzie więc tylko o prenumeratorów.

Przemysł. W Łodzi zaczęła już funkcyonować olbrzymia fabryka wyrobów ze sztucznej welny, zatrudnia ona przeszło 1,000 robotników. Jest to największy zakład tego rodzaju w Królestwie i Cesarstwie.

Dr. Ranke znany historyk niemiecki obchodził 60-letni jubileusz działalności profesorskiej.

Telegrafy. Sieć telegraficzna w Królestwie i Cesarstwie w 1884 r. rozciągała się na 222,757 wiorst z 3,198 stacyami. Depesz podano 31,953,066. Całej służby liczono 10,845 osób, w tej liczbie 758 kobiet.

Konkurs. Tygodnik powszechny wyznacza dwie nagrody 150 i 75 rs. za rysunek przedstawiający typ „polskiej dziewicy.“

Korespondenci. Kilku korespondentów dzienników francuskich udało się już do Tyflisu, aby stamtąd w razie wojny podążyć natychmiast do Afganistanu.

Szkoły. W klasie 3-ej gimnazyów męzkich wprowadzony będzie wykład geometryi sposobem poglądowym, ażeby ułatwić słuchanie później kursu teoretycznego.

— W Rosyi europejskiej znajduje się 456 szkół męskich średnich z 107,939 uczniów, 384 szkół żeńskich z 79,627 uczenicami, i 28,329 szkół elementarnych z 1,177,504 uczniami. Zdaje się, że szkoły Królestwa nie zostały włączone do tego wykazu.

Zapytanie. Kapitan Fiorentini jeszcze w 1858 r. zapisał galeryę obrazów Warszawie, z warunkiem, ażeby obrazy te wystawiono na widok publiczny. Galerya ta czas jakiś istniała, później zamknięto ją i czasowo tylko urządzono wystawę w pałacu brühlowskim na której brakowało najcenniejszego obrazu Corregia. Spadkobiercy ofiarodawcy zapytują obecnie zarząd miasta, czy zamierza spełnić warunek testamentu i co z galeryą obrazów uczynił?

Reforma zebrania. Zawiadowcy stacyi i telegrafiści pozbawieni zostali prawa noszenia naramienników, wkrótce zaś otrzymać mają mundury zrobione krajem rosyjskim.

Czarnogórze rozcina ukazem książęcym węzeł gordyjski kwestyi socyalnej. Lakoniczne postanowienie brzmi: „od dnia dzisiejszego dla uniknienia próżniactwa i zbytku nikomu nie wolno posiadać więcej jak jedną włókę gruntu.“

Potęga prasy. Na całej kuli ziemskiej wychodzi około 35,000 pism peryodycznych, w tej liczbie 5,000 codziennych, w 7 milionach egzemplarzy. Najwięcej pism posiada Europa, bo przeszło 20,0000 (2,500 codziennych) potem Ameryka 12,000 (1,100 codziennych), najmniej zaś Afryka—185 (25 codziennych).

Fabryka juty powstaje w Bleśnie, na miejsce projektowanej przędzalni i tkalni płótna.

Loterya polska ma być stanowczo zniesioną, jednocześnie z zamierzonem przekształceniem Banku, które w zasadzie już zostało postanowione.

Zmiana nazw. Niektóre miasta w guberniach nadbałtyckich otrzymać mają nazwy rosyjskie, pomiędzy innemi Dorpat przemianowany będzie na Juriew.

Gimnazyum na Pradze otwarte będzie od wakacyi, oprócz komornego 5,500 rs., kasa miejska dopłacać ma rocznie 11,430 rs. Na pierwsze potrzeby szkoły mieszkańcy Pragi ofiarowali 3,000 rubli.

Siemiradzki wykończył nowy obraz *Męczennicy*. Treścią jego epizod z prześladowania chrześcian za Dyoklecyana.

Grzeczność. *Kuryer warszawski* mówiąc o sprzeniewierzeniu, jakiego dopuścił się kasyer spółki jedwabniczej, nazywa złodzieja ś. p. p. X.

Rubinstein dał w Warszawie dwa koncerty. Pochwały dla takiego mistrza byłyby tylko dolewaniem do pełnego.

Wydawnictwa pięciogroszowe. Wkrótce wychodzić zaczną książeczki dla ludu, mające na celu popularyzowanie wiadomości, dotyczących gospodarstwa i hodowli inwentarza. Cena każdej książeczki oznaczona została na 5 groszy.

Bibliografia. Stanisław Wroński i Jarosław Śląski. *Łubin, jego uprawa i użytkowanie.* Warszawa.

— Józef Wolff. *Pacowie*, materyały historyczno-genealogiczne. Petersburg.

— Senatorowie i dygnitarze Wielkiego Księstwa Litewskiego, 1386—1792. Petersburg.

Mierzwiński (znowu!) otrzymał od cesarza austr. order Franciszka Józefa i tytuł śpiewaka nadwornego.

Kongres muzyczny. Celem ustanowienia normalnego tonu zwołuje austr. minister oświaty międzynarodowy kongres muzyczny do Wiednia. Kongres ten ma się odbyć w lipcu b. r.

Obraz Kozakiewicza *Ze stopnia na stopień*, wystawiony obecnie w wiedeńskim *Künstlerhausie* i budzący tamże bardzo wiele zajęcia, zakupił cesarz austryacki.

Smutna statystyka. Szkody zrządzone w Galicyi w ostatnim roku przez pożary wynosiły 2,378,225 złr. zaś gradowe 3,722,430 złr.! Przestrzeń uszkodzona przez grady zajmuje 2,628,875 hektarów, a liczba domów spalonych wynosiła 4,483, z których tylko 1,315 było ubezpieczonych od ognia.

Wyprawę do południowej Arabii wysyła rząd austr. pod kierownictwem prof. Edwarda Galazera. Celem wyprawy są studya geograficzne i archeologiczne.

Statystyka. W 16 guberniach zachodnich i południowych Rosyi, w których żydzi mają prawo stale mieszkać, znajduje się ich 2,930,639 na ogólną ludność 25,481,856 głów. Najwięcej jest ich w guberni mińskiej, bo przeszło 20% prawie żyli w Grodzieńskiej, Kowieńskiej, Podolskiej i Mohylewskiej. W 12 guberniach (9 t. z. zachodnich, połtawskiej, czernichowskiej i besarabskiej) 1,4% ziemi jest własnością żydów, 3,9% dzierżawią a 5,3% trzymają w zastawie.

Akademia umiejętności. Komisya historyczna odbyła swe posiedzenia 9 i 24 marca. Na pierwszem przedstawił p. Piekosiński plan wydawnictwa uchwalonego już 2 tomu *Kodeksu dyplomatycznego Małopolski.*

Prof. Lewicki podał wiadomość, udzieloną mu przez prof. Caro, że w Wrocławiu znaleziono świeżo nader ciekawe księgi formularzy z XV a po części nawet z XIV w., z którychby należało skorzystać w przygotowanym do wydania w 2 tomie kodeksu listów z XV w. Uchwalono w tym celu porozumieć się z prof. Caro i polecono dr. Lewickiemu pojechać do Wrocławia. Postanowiono też wydać spis wszystkich ogłoszonych już aktów politycznych i listów z wieku XV, o ile one nie mieszczą się w wydawnictwach komisyi.

— Na drugiem posiedzeniu udzielił hr. Hubert Krasiński do użytku komisyi ważnych aktów i listów z XVI i XVII w., które się znajdują w jego zbiorach. Jedne z nich mają być ogłoszone zaraz w drukującym się tomie *Archiwum* komisyi (mianowicie nader ciekawe hramoty rosyjskie z czasów Dymitra Samozwańca i listy z czasów Zygmunta III); o innych zaś polecono członkom komisyi złożyć referaty (o zbiorze oryg. listów Zyg. Augusta, Bony, Hozyusza i innych do Ludwika Monti i o zbiorze listów z czasów Michała i Jana III). Następnie uchwalono przygotować wydanie szeregu dyaryuszów sejmowych z czasów Zygmunta III, którem mają się zająć pp. Seredyński i August Sokołowski.

— Dnia 1 kwietnia odbyło się posiedzenie wydziału filologicznego. Ks. Polkowski odczytał rozprawę p. t. *Poezye łacińskie z XIV wieku Jana z Kempy*, herbu Łodzia, biskupa poznańskiego.

Dr. Hanusz nadesłał rozprawę p. t. *O dobie litewsko-słowiańskiej* w stosunku do prajęzyka indoeuropejskiego. Obie prace odesłano do komitetu redakcyjnego. Na wniosek komisyi historyi sztuki uchwalono ogłosić w pamiętniku akademii rozprawę dr. J. Bołoza Antoniewicza p. t. *O średniowiecznych źródłach do rzeźb*, znajdujących się na relikwiarzu z kości słoniowej w skarbcu katedry na Wawelu. Oddano komisyi do ocenienia rozprawę, nadesłaną na konkurs z fundacyi ś. p. Kaspra Bieleckiego, p. t. *Stanisława Grochowskiego życie i dzieła*, opatrzoną godłem *Alpha*.

— Doroczne publiczne posiedzenie odbędzie się dnia 4 maja b. r. z następującym programem: 1) Zagajenie przez hr. Alf. Potockiego, zast. protektora. 2) Odpowiedź prezesa ak. dr. Majera. 3) Sprawozdanie z ruchu naukowego i administracyjnego akademii przez sekr. hr. S. Tarnowskiego. 4) *Słowo i natchnienie rzymskiej poezyi* wykład dr. K. Morawskiego. 5) Ogłoszenie nazwisk kandydatów przedstawionych przez wydziały na członków akademii. 6) Ogłoszenie konkursów.

Studenci paryscy. Na wydziale lekarskim w Paryżu zapisanych jest 3934 słuchaczów. W tej liczbie jest 616 cudzoziemców, a mianowicie 538 mężczyzn a 78 kobiet. Wedle narodowości amerykanów 127, rosyan 76, polaków 20, rumunów 61, hiszpanów 52, turków 45, brazylijczyków 30, szwajcarów 26, greków 25, anglików 22, serbów 12, włochów 9, egipcyan 8, belgów 7, indyan 5, holendrów 3, portugalczyków 3, niemców 2, austryaków 2, chińczyk 1, pers 1. Pomiędzy kobietami jest 35 Rosyanek a 12 Polek.

Ilość konfiskat w Austryi w r. 1884, według wyjaśnień reprezentanta rządu w komisyi parlamentu, wynosiła 974—o 1 mniej niż w r. 1883. Rozdziela się ta cyfra na okręgi wyższych sądów następnie: Wiedeń 110, Praga 471, Berno 101, Lwów 94, Kraków 13, Insbruck 5, Grac 47, Tryest 113, Zadar 40. Dzienniki robią charakterystyczną uwagę, że tam więcej konfiskat, gdzie mniej pism i gdzie przeważnie organa prawicy.

Fabryki octu. W Królestwie znajduje się 178 zakładów wyrabiających ocet, w ilości zaledwie 246,084 wiader, w guberniach t. z. zachodnich 170, które wyrabiają o połowę mniej.

Podrzutki. Do domu podrzutków przy szpitalu Dzieciątka Jezus przyjęto w r. z. 1253 dzieci, z tej liczby zmarło 425 t. j. prawie 34%.

Ludność Warszawy zwiększyła się w r. z. według danych urzędowych tylko o 2.000 osób i z początkiem roku bieżącego wynosiła 406,935 mieszkańców.

Statystyka pocztowa. Poczta miejska w Warszawie przesłała w ciągu ubiegłego roku 436,892 listów— w porównaniu z liczbą mieszkańców cyfra niewielka, ale widocznie świadczy o tem, że niemamy spraw pilnych, kiedy jeszcze tyle osób koresponduje tą drogą.

Handel zewnętrzny. Wywóz państwa rosyjskiego wynosił w r. z. 527,027,000—przywóz zaś 448,735,000 rs. Najwyższą sumę stanowi wywóz do Niemiec bo $167^1/_2$ milionów rubli, dalej do Anglii, Holandyi, Francyi i Austryi, pod względem przywozu wymienione kraje stoją również w tym samym prawie porządku.

Zmarli. Stanisław Koźmian, prezes Towarzystwa przyjaciół nauk w Poznaniu, przyjaciel Z. Krasińskiego, którego w poezyach swoich naśladował. Poemat Koźmiana: *Do mistrzów słowa* długi czas przypisywano Krasińskiemu.

— Ludwik Wolski, b. urzędnik komisyi spraw wewnętrznych, najlepszy bez zaprzeczenia statystyk polski. Pod jego kierunkiem wychodziły od 1857 do 1861 r., wybornie redagowane kalendarze obserwatoryum astronomicznego. W ostatnich latach nie odzywał się wcale.

— Józef Piotrowski, doktór medycyny, autor wielu rozpraw w zakresie swej specyalności, pisanych w języku polskim i niemieckim.

— Karol ks. Jabłonowski, kurator zakładu sierot i ubogich w Drohowyżu fundacyi Stan. hr. Skarbka, wysoki dygnitarz dworu austr. itd. we Lwowie.

— Konstanty Rosetti, b. minister rumuński, poeta i tłómacz Byrona, Lamartina, Woltera, w Bukareszcie.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

K. w Odesie. Wysłane numery z przesyłką kosztują kop. 86; potrąciwszy kop. 50, należy nam się kop. 36.

T. w Moskwie. Przesyłka książek kosztuje kop. 59, które nadpłaciliśmy.

S. w Obodówce. Żądany dodatek dla ślusarzów już nie wychodzi; pozostaje u nas rs. 4 do rozporządzenia.



Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 19 Апрѣля 1885 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. **A. Świętochowski.**